№ 27. Warszawa, dnia 6 Lipca (24 Czerwca) 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od dnia 5 lipca Redakcya PRAWDY mieści się przy ulicy Marszałkowskiej (róg Żórawiej) pod nr. 95.

POLITYKA.

KOSOWE POLE.

Jeżeli zdanie jednego z badaczów Słowiańszczyzny, że *Łazaryca* serbska jest najpiękniejszą epopeją ludową, może nastręczać wątpliwości, to jej osnowa niezaprzeczenie należy do najbogatszych. Bohaterskie wysiłki serbów dla odparcia wlewających się w ich siedzibę fal muzułmańskich, krwawa tragedya, rozegrana na Kosowem polu, główne jej postacie, a nadewszystko zatonięcie narodu na kilka wieków pod niszczącym zalewem—z tych wypadków wyobraźnia mogła wysnuć i wysnuła rzeczywiście wspaniałą przędzę wspomnień, pieśni i legend. Patryotyzm, wreszcie polityka rzuca często w przeszłość na wypadki epokowe smugi olśniewającego światła, ażeby ono pokryło ich cienie, podrabia prawdę historyczną lub zaciera w niej szczegóły, tworzy w dziejach to, czego teraźniejszość potrzebuje. A ileż razy przedmiotem najuroczystszych obchodów i uniesień bywają pamiątki tej czci niegodne; ileż razy hymn sławy splata się z tonów dzikiej radości! Zapewne długo jeszcze rocznica bitwy pod Sedanem będzie narodowem świętem niemców —i cóż to święto przypomina? Tryumf najazdu i podstępu, złapanie w potrzask stada gilów, zręczny obrót strategiczny, który pozwolił przeciwnika obrabować i skaleczyć. A takich zwycięztw świat cywilizowany posiada mnóstwo i szczycić się niemi będzie, dopóki kiedyś postęp opromieniającej je jasności nie zgasi.

Klęska na Kosowem polu należy do tych wielkich wypadków, o których naród może przypominać sobie i innym z dumą, bez fałszowania prawdy i bez udziału swych barbarzyńskich instynktów w zachwycie. Była to chwila ofiarą wspaniała, skutkami okropna. Jeżeli nas wzrusza cierpienie gromadki górników, zasypanych w kopalni i wydobytych po kilku dniach prawie bez życia, to o ileż straszniejszym jest widok całego, kwitnącego narodu, zagrzebanego na trzy wieki, przez które umierać musiał pod rozgniatającym go ciężarem. A jakże on padł bohatersko! Legenda mogła postaciom tego krwawego dramatu przydać nieco wielkości i znamion niezwyczajnych, ale nawet rozebrane z jej fantastycznych szat wyglądają one wspaniale. Ten książę Łazarz, który się rzuca do nierównej walki z muzułmańskim potworem, ten zięć jego Milosz zabijający sułtana, przed którym pokornie się ukorzył, ci wojewodowie i rycerze, ginący jak gdyby dla stworzenia przyszłym pokoleniom wielkich wzorów poświęcenia się dla ojczyzny—zasługują na to, ażeby ich wskrzesił w chwale Homer lup Shakespeare. A wszyscy oni — o czem zapominać nie należy — nie zginęli jako mężni bandyci polityczni, jako nieszczęśliwi napastnicy, ale jako obrońcy kraju.

Jeżeli serb ukształcony, znający dzieje swego narodu i pojmujący jego obecną niemoc cywilizacyjną, prawie barbarzyństwo, uprzytomni sobie bitwę na Kosowem polu i jej następstwa, jeżeli pomyśli, czem dziś byłaby Serbia bez tej klęski — może serdecznie zapłakać nad losami swej ojczyzny. Bo kto jej wróci te trzy stulecia straconego rozwoju, jaka moc wynagrodzi jej te trzy wieki gwałtów, krzywd, ucisku, ciemięztwa, pastwień się nad bezbronnymi, zakłócenia lub zatrucia wszystkich zdrojów życia? Trzysta lat wydartych z istnienia narodu, gorzej — bo zamienionych na torturę — to tak rozpaczliwe, że można uczuć chęć zatracenia pamięci. Zaiste, chyba żywioły ludzkie, niosące zagładę, nie mają, jak żywioły natury, żadnej świadomości swego okrucieństwa, bo by same się nim przeraziły. Niepodobna, ażeby ta lawa turecka, która się wytoczyła na Kosowe pole, pojmowała swe spustoszenie.

W takim fakcie, w którym splotło się tyle grozy, wspaniałości i nieszczęścia można poczerpnąć hasła wstrząsające — nic też dziwnego, że serbowie wyzyskali jego wspomnienia dla celów swej polityki obecnej. Ktokolwiek ich za to karcił lub upominał, dowiódł tylko, że umie swe sumienie sprzedać za kilka frazesów zdawkowych i handlować uczciwością. Gdzie jest na świecie naród, któryby, odzyskawszy swobodę i niepodległość po wielowiekowej i strasznej niewoli, nie zatonął cały w rozpamiętywaniu tych chwil swej wielkości i pogromu? Ale ten wybuch uczuć, będąc zupełnie naturalnym, nie przestaje być dla dotkniętych przez niego „interesów" groźnym. Na chorągwiach obchodu pamiątkowego, na bramach tryumfalnych, w mowach uroczystych— wszędzie brzmiały słowa: „Serbia zjednoczona." A kawałki tej Serbii wmurowane są dotąd w rozmaite państwa, które swych łupów i nabytków odstąpić nie chcą i gotowe są bronić ich siłą. Zwłaszcza zaś Austrya ofuknęła sąsiadkę za te uroszczenia bardzo surowo, a Węgry, które trawią odłamki Serbii i strawić ich nie mogą, nie pozwoliły swym niewolnikom przyjąć udziału w obchodzie na Kosowem polu. Madziarzy, którzy żyją słowiańską krzywdą i mogą utrzymać się tylko przemocą, bo bez niej we wszelkiem współzawodnictwie przegrywają, nie mogli naturalnie zgodzić się na rozrzucanie gorących węgli w swoim domu.

Jakkolwiek powiał na chwilę od strony Serbii wiatr niepokoju wojennego, polityce

uspokoili się szybko nadzieją, że gdy uroczystość Kosowego pola przeminie, wszystko wróci do dawnego ładu. Według nas— jest to złudzenie. Idea wielko-serbska, tak silnie podsycona wspomnieniami historycznemi, tak pielęgnowana skrycie przez sam rząd a jawnie przez osobistości wpływowe i ich sojusze zewnętrzne — nie zgaśnie jak błędny ognik. Dużo jeszcze będzie miała z nią do czynienia dyplomacya a może nawet karabiny i armaty. Wszystkie znaki przemawiają za tem, że półwysep Bałkański odegra w stosunkach międzynarodowych ważną rolę, a Serbia jest jego żywiołem głównym. Austrya ostrzega ją, ażeby po raz drugi nie doczekała się krwawej kąpieli na Kosowem polu, ale są to strachy na lachy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Nikt w Europie tak wytrwale i ustawicznie nie wyrabia wojny, jak papież. Nawet wtedy, kiedy na widnokręgu politycznym nie widać najdrobniejszej chmurki, gazety watykańskie donoszą, że Leon XIII „pomimo okropności swego położenia nie opuści Rzymu, chyba na wypadek wojny“ i że na ten „wypadek“ wyjedzie — coraz gdzieindziej. Musi wszakże już wojna być bliską, skoro telegraf uwiadamia, że „prałat papieski oglądał pałac na wyspie Majorce, ofiarowany ojcu św. na wypadek zawikłań europejskich, w których by uczestniczyły Włochy.“ Rzecz dziwna, że to zapowiedzi i oględziny nie wpływają wcale na giełdę, zwykle czułą, a tym razem nieroztropnie obojętną.

Daleko wrażliwszą okazuje się ona na wieści z Serbii, na rozruchy w Sandżaku Nowobazarskim, wreszcie — co jest jeszcze bardziej zrozumiałem — na pobrzękiwania pałaszowe w Austryi. Te pobrzękiwania jednak odzywają się wyłącznie w mniej powściągliwych dziennikach i mówkach publicznych z charakterem prywatnym. Są one tylko rozwijaniem słów, wypowiedzianych przez hr. Kalnokego, że Austrya nie myśli o zaborach, ale czuje spokój *siły*. Czasem wszakże zdaje się, jak gdyby łydki tej siły nieco drżały. Istnieją ku temu najrozmaitsze powody. Między innymi odezwy gadzinowców prasowych drugiego rzędu do „przyjaciół w Wiedniu.“ Jest to widocznie z natchnień biura kanclerskiego systematycznie rozwijana teorya przyjaźni w potrzebie wojennej. Według tej teoryi, zajęcie Serbii, Bułgaryi, a nawet innych krain na półwyspie Bałkańskim przez mocarstwo, walczące z Austryą, nie zobowiązywałoby jeszcze Niemiec do wystąpienia w jej obronie. Kiedy by one uznały ten obowiązek — trudno zgadnąć, prawdopodobnie wtedy, gdyby nieprzyjaciel zwycięzki stanął przed bramami — Berlina.

Zajadle prowadzona walka przedwyborcza między demokratami a stańczykami w Galicyi ośmieliła niektórych proroków do przepowiedni, że ci ostatni utracą z pod nóg kawał gruntu. Znaczyłoby to przewrócenie się świata do góry nogami, co jednakże na pociechę prawidłowości rzeczy nie nastąpiło lub nie nastąpi. Z urny bowiem wyjdą kandydaci prawomyślni a demokratyzm galicyjski jak był kopciuszkiem, tak nim pozostanie. Tylko rusini będą mieli w przyszłym sejmie więcej przedstawicieli.

Z obozu demokratów najwięcej zaciekawienia budziła kandydatura Asnyka. Nazwy stronnictw politycznych w rozmaitych krajach mają rozmaite znaczenia; jeżeli ktoś nie wie, co znaczy demokratyzm w Galicyi, niech przeczyta mowę tego pocty, a przekona się, jak niewinną naukę tam głoszą apostołowie „negacyi“ — jak ich nazywa hr. Tarnowski. Obok zwykłych przykazań liberalizmu, znajdujemy w niej i „wiarę w misyę dziejową i obecną szlachty,“ i karmelki dla mieszczaństwa, i miecz sodalisowski, a nawet uznanie racyi bytu dla przeciwników. Doprawdy trudno o wspaniałomyślniejszego demokratę. „Postulatem (?) zdrowego rozumu i praktyki politycznej — powiada Asnyk — jest, że dla zdrowego, prawidłowego i normalnego przebiegu spraw publicznych *potrzebnem jest* współdziałanie wszystkich stronnictw, wszystkich czynników i tak czy w Sejmie czy po za Sejmem *potrzebna jest* prawica, centrum i lewica, czyli innemi słowy *potrzebni* są konserwatyści, umiarkowani i postępowi. Właśnie na współdziałaniu tych wszystkich czynników polega harmonia. Zapanowanie każdego *jednostronnego*, skrajnego kierunku, jak praktyka dziejowa uczy, odbija się zawsze *zgubnemi* następstwami. Ale to współdziałanie otrzymuje się na drodze walki ścierających się zasad i z tej to walki wychodzi pośrednia droga, pośredni kierunek między zastojem i wstecznictwem a między *zbyt gwałtownem* rwaniem się naprzód.“

Z takim sztandarem walka jest łatwa. Bo skoro Asnyk nie podał i podać nie mógł żadnego przepisu, w jakim stosunku powinny wchodzić rozmaite części składowe dla stworzenia takiej mikstury sejmowej, któraby wyszła społeczeństwu na „zdrowie,“ tem samem więc mowę swoją puścił na koło młyna przeciwników. I cóż by on odpowiedział wyborcom, gdyby ci odmówili mu swych głosów i dali je stańczykom, usprawiedliwiając się tem: wytłomaczyłeś nam pan, że dla harmonii współdziałania wszystkich czynników *potrzebni* są również konserwatyści; a ponieważ nie wskazałeś pan ustosunkowania żywiołów, więc my, uznając, że na 10 wsteczników powinien przypadać 1 demokrata, wybraliśmy stańczyka, zwłaszcza że z drugiej strony zachowawcy dowiedli nam, iż wy jesteście wcale nie potrzebni. Szlachta ma swoją „misyę,“ stare rody mają „ludzi wyższego serca i umysłu“ — a musi to być dogmatem, skoro tak mówi sam ich nieprzyjaciel — więc należy również wybrać szlachciców i rodowców. Oto, do czego prowadzi logika polityki ludzi aliażowych, nieodlanych z jednego metalu. To też mowa Asnyka, robiąca przytem wrażenie artykułu dziennikarskiego, napisanego pospiesznie, wielobarwna i wielolicowa — głęboko na słuchaczów oddziałać nie mogła. Czuli oni wyraźnie, że stoi przed nimi nie człowiek głębokich przekonań społecznych i silnej w nie wiary, ale przypadkowo w obozie politycznym goszczący, uczuciowy ochotnik.

„We Francyi — rzekł on na początku— gdzie demokracya, panując zwycięzko i nadużywając (?) częstokroć swojej władzy, ma do rozporządzenia godności, zaszczyty, bogactwa i wysokie stanowiska, *możebym się zawahał* stanąć w jej wojujących a dotąd zwycięzkich szeregach — ale tutaj mogę to uczynić tem śmielej, że demokracya nasza jest wiecznie łajanym i potrącanym kopciuszkiem, i niema nic do rozdania, prócz pewnej liczby mandatów, które i tak w przeważnej części z wielkiej *grzeczności* przeciwnikom swoim ofiaruje. Demokracya na-

---

1)

Strącone liście.

Liść żółty na ziemi leży. Drugi obok niego, trzeci, dziesiątki ich spoczywają pod lipą, nie dbającą o nie, kwitnącą, pachnącą, do słońca uśmiechniętą. Deszcze padały przez dni kilka, chłodne ranki zabiły liści wiele i strąciły je. Innym za to przestronniej. Inne weselą się. Słońcu się przekomarzają, pochwytując promienie jego— jak dzieci w garści swe wodę, i przelewają cienkie strugi ich na ziemię; chichocą, gdy wiatr je zaczepi, trącają się pod bok, jak dziewczęta spłoszone, i machają na niego, wygrażają mu. Bawią się, słowem. Czasem, gdy się nachylą, dojrzą w dole punkta żółte, pociemniałe, nieruchome, niby przyrosłe do ziemi, i rzadko kiedy — jeśli wiatr się bardzo rozhula, miotane w powietrzu ruchem słabych, bezwładnych istot. Gdy liście żywe dojrzą tamte — uśpione lub tęsknie ku nim spozierające, wtedy, jakby powiew nudy je znieruchomił, poważnieją nagle i szepleniącą mową prawią sobie jakieś kazania:

„My jesteśmy na swojem miejscu, my mamy stanowiska pewne, których nikt nam zaprzeczyć nie może, i koleje życia, z których nic nas nie wytrąci. Urodziłyśmy się w porę, dojrzały w porę i w porę pomrzemy. U nas wszystko w porę. Odżywiamy się systematycznie, a myśli nasze — nieliczne—i uczucia — jednostajne— mają czas, oznaczony dla nich, i foremki wygodne. My liście porządne.“ Tak szepleniąc, uspakajają obawy mętne i trwogę niesłuszną, która przez jedno mgnienie lekkim dreszczykiem je wstrząsła. Uspokojone wracają do słońca i wiatru, udają wielkie damy, które się z wdziękiem wachlują. Bawią się.

A tamte senno, bezdomne, kolei w życiu nie mające, za jakie winy strącone zostały? Nie jest że to rzeczą straszną, przyjść na świat liściem, dowiedzieć się żeś niepotrzebny i strąconym zostać. Ile żalów, ile pretensyj okrutnych, ile bólu pożerającego palić musi te listki nieruchome i milczące. Nie dziwno, że schną tak szybko.

Zdaje mi się, że widzę inne drzewo, na którem gęsto, jak liście, obsiadły myśli i uczucia ludzkie. Nastają chłody, padają deszcze i to drzewo traci liści wiele. Krążą one dokoła mej głowy i opadają na nią zjękliwą skargą, lecz gdy im się przyglądam, nie widzę by one były najgorsze i nieużyteczne.

Więc zdaje mi się, że z nich ktoś uplecie wspaniałe wieńce i złoży je kiedyś na grobie uschłego drzewa, a ludzie żałować będą strąconych i utraconych liści.

I. Netel.

(Wspomnienie ze starej dzielnicy).

Przypomniał mi się pewien stary dom i pewien stary człowiek. Póki istnieli, istnieli razem i nie rozdzielali się, w końcu doszli obaj do jednej furtki i obaj z zadowoleniem spojrzeli na napis, który dla domu brzmiał: zagłada, a dla człowieka: śmierć.

Dom był oznaczony tylko numerem, człowiek nosił nazwisko Baum, Netel Baum; jeden i drugi byli gratami nieużytecznemi i należeli do siebie. Ze zwyczaju mówiono, że dom jest własnością Netela, ale lepiej było powiedzieć, że Netel jest własnością domu. Dom był starszy, wyhodował Netela i zamierzał pogrzebać go w swoich gruzach.

Dom posiadał liczną rodzinę i był w tem podobny do Netela, ale rodzina domu była więcej warta, niż rodzina Netela, wyłączając chyba jednego małego Joela, który póki był małym Joelem, był wart wiele. Rodziną domu była cała dzielnica, najstarsza i najobszerniejsza w naszem mieście. Powstała ona prawdopodobnie tak samo, jak powstają dzielnice miast na całym świecie, ale że działo się to bardzo już dawno, więc o początkach jej bytu opowiadają różne dziwy, tyle warte, co bajka o bocianie, przynoszącym dzieci, czyli powtarzania nie warte. To tylko pewne, że przysze[...]zy na

sza nicma nic do rozdania, nie stać jej ani na płatnych pochlebców, panegirystów, ani na zastępy klientów tęskniących do intratnych posad, ani na salonowych pieczeniarzy, głoszących wymownie wielkość cnoty swoich chlebodawców. Demokracya nicma nic do rozdania, nic więc dziwnego, że odwracają się od niej tyłem gromady karyerowiczów i uważają zetknięcie się z nią za niebezpieczne i kompromitujące.“

Więc on dlatego tylko został demokratą, że ona niema „nic do rozdania,“ a gdyby była silną i zwycięzką — „możeby się zawahał stanąć w jej szeregach?“ Czy taki człowiek kocha swój przygodny sztandar?

Większą wartość posiadało to, co Asnyk rzekł o stańczykach, chociaż i tu nie zdobył się na odpowiednią siłę.

„Nie możemy za to uznawać bezwzględnej supremacyi koteryi, złożonej z najróżnorodniejszych żywiołów, ze wszystkich sfer towarzyskich, która bez moralnych podstaw chce uzurpować sobie stanowisko moralnego rządu i żąda od wszystkich ślepego poddania się jej władzy i jej interesom.

Pretensya taka byłaby nieuzasadnioną nawet wówczas, gdyby za nią stał cały szereg czynów dodatnich, rozumnych, szlachetnych, bo żadne stronnictwo, mające swój odrębny ideał polityczny, nie może zrzec się prawa do samodzielnego istnienia i dobrowolnie iść pod chorągwie swoich przeciwników. Ale cóż mówić wtedy, gdy działalność nie wypływa tyle z zasad, na jakich się opiera, ile ze środków, których używa do dopięcia celu według znanego aksiomatu: „cel uświęca środki.“

Nie wspólność bowiem zasad jest tu wspólnym łącznikiem tego różnorodnego zastępu, składającego się z pierwiastków oligarchicznych, konserwatywnych, demokratycznych i radykalnych — ale przedewszystkiem wspólność interesów. W imię tej wspólności schodzą się tu i godzą najsprzeczniejsze doktryny. W imię tych interesów koterya ta werbuje coraz świeższych ochotników, którzy widzą, że w jej ręku spoczywa rozdawnictwo posad, stypendyów i innych beneficyów i że ona jedynie zamyka lub otwiera drogi do karyery w każdym zawodzie.

Do dopięcia celów posiada ona różne środki i sosoby. Olśniewa dostojeństwami, majątkiem, wpływami, otwiera dla swych prozelitów salony i robi z nich odrazu ludzi dobrego tonu, należących do śmietanki towarzystwa, wydaje dyplomy na mądrość, geniusz, cnotę. Wszystko, co należy do jej zaczarowanego koła, jest wielkiem, wzniosłem i świętem — wszystko, co po za jej obrębem jest miernością, rozstrojem, negacyą.

Że podobna propaganda prowadzi w dalszych następstwach do demoralizacyi społecznej, do upadku charakterów, do chęci gonienia za łatwą karyerą nie na mocy osobistej pracy i zasług, lecz przez schlebianie wpływowym osobistościom, przez protekcyę i nepotyzm; że w dalszym ciągu wyradza serwilizm i hypokryzyę — tego dowodzić nie potrzeba. Brak wspólnych, etycznych i politycznych zasad zastąpiła koterya bożyszczem, któremu na imię „rozum stanu,“ i temu bożyszczu jak nowemu Molochowi poświęca na ofiarę wszystkie ideały.“

Szanujemy i wielce cenimy Asnyka, ale jeżeli kiedykolwiek wątpliliśmy o jego zdolnościach politycznych, to teraz ich braku w nim jesteśmy pewni. Może on być rozjemcą, superarbitrem stronnictw, ale nie wyobrazicielem któregokolwiek z nich, a zwłaszcza demokratycznego. Chyba zgodzimy się na demokratyzm nieznany innym narodom Europy — czysto galicyjski.

Kilkunastoletni król Aleksander serbski został ukoronowany. Cała uroczystość od; była się głównie pod opieką przedstawiciela ruskiego p. Persianiego, który też był przedmiotem szczególnych odznaczeń ze strony narodu i rządu. Naturalnie prasa austryacka ze spokojem patrzeć na to nie może i mocno jest oburzona.

Wybory do sejmu czeskiego sprawiły przykrą niespodziankę staroczechom, sprawiwszy w ich szeregu znaczne szczerby na korzyść młodoczechów. I tam więc prąd rusko-słowiański zyskał na sile.

We Lwowie aresztowano B. Wysłoucha, niegdyś redaktora *Przeglądu społecznego*, a obecnie współwłaściciela *Kuryera lwowskiego*, pod zarzutem knowań socyalistycznych. Odbyto również rewizyę u H. Rewakowicza, redaktora tej ostatniej gazety.

Szach bawi w Anglii — bardzo wystawnie przyjmowany.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZJAZD.

Przekonano się, iż w sprawie wykształcenia fachowego tylko międzynarodowe porozumiewanie się na mocy skrzętnych danych może przynieść pożądane rezultaty. W tym celu odbył się jeden zjazd specyalistów w Bordeaux, gdzie jednak zauważono brak odpowiedniego materyału i przygotowania się. Inaczej do tego się wzięło Towarzystwo techniczne w Petersburgu, które w końcu bieżącego roku urządza w stolicy zjazd działaczy na polu wykształcenia technicznego i przemysłowego w państwie, przy udziale instytucyj rządowych i publicznych, których program obejmuje rozpowszechnianie wiedzy technicznej i przemysłowej. Zadaniem zjazdu jest wyjaśnić położenie obecne i potrzeby wykształcenia przemysłowego w Rosyi. Członkami mogą być wszyscy, biorący udział w działalności zakładów naukowych przemysłowych jako założyciele, kuratorzy, kierownicy, nauczyciele, upoważnieni do przedstawicielstwa, przemysłowcy, fabrykanci, kierownicy warsztatów, tudzież osoby postronne; te ostatnie, jeśli są członkami Towarzystwa technicznego — na mocy prostej deklaracyi, inni zaś na zasadzie przedstawienia stałego komitetu do spraw wykształcenia technicznego, po zatwierdzeniu przez radę Towarzystwa. Deklaracye należy składać najmniej na trzy dni przed otwarciem zjazdu. Dla opracowania szczegółów i wstępnego przygotowania do prac zjazdu, utworzono specyalny komitet organizacyjny, którego działalność kończy się w chwili otwarcia zjazdu. W celu poglądowego zaznajomienia członków z obecnym stanem sprawy wykształcenia technicznego i profesyonalnego, urządzona będzie przy zjeździe wystawa robót uczniów zakładów przemysłowych i technicznych, ustaw, regulaminów i programów tych zakładów, podręczników naukowych itd. Zjazd dzieli się na 12 sekcyj i komitet do urządzenia wystaw. Podział na sekcye odpowiada głównym grupom spraw, które poddane będą obradom: 1) wyższe specyalne zakłady naukowe, 2) szkoły realne i handlowe, 3) szkoły niższe i średnie techniczne, 4) wykształcenie gospodarczo-

---

świat, usiadła sobie na szczycie wzgórza i siedzi tam po dziś dzień, zająwszy jeszcze i boki jego.

Można ją nazwać rodziną, ale dodać należy, że jest to wygasająca rodzina istot przestarzałych i bardzo odmiennych od pokoleń nowych. Wszyscy tu są poważni i skromni. Ich wnętrza odstraszają dzisiejszych mieszkańców mrokiem i chłodem długich, sklepionych sieni, brukowanych w dole, wązkimi i spadzistymi wschodami, obfitością ganków, oplatających piętra lub zawieszonych nad ciemnymi i ciasnymi dziedzińcami, jak mostki spozierające w przepaść. W załomach murów, pod arkadami w sieni, nad oddrzwiami, we framugach okien, w łukowych niszach po bokach korytarzy błąkają się okaleczone, zatarte coraz to nowemi warstwami pobiały wapiennej ornamentacye i splowiałe malowidła. Pierwsze uderzają prostotą lub pomysłem, zawikłanym dziecinną jakąś fantazyą, drugie uzmysławiają marzenia wpółdziecinne, czyste i naiwne. Lecz te okruchy czyichś myśli i uczuć, te echa pogrzebanego już życia, wydają się dziś ludziom niejasne i cudaczne, lub wioną na nich trwogą i zyskują życzenia by je zniszczono.

Dlatego to, z murów tych, jeśli przyjrzeć się im uważnie, przeziera rozżalenie jakieś, starcze, a głębokie, płynące z poczucia tego, że nikt ich już nie lubi, wielu się nimi brzyd[illegible] a nikomu nie upływa w nich życie tak [illegible]isznie, spokojnie lub wesoło, jak upływało tym, którzy nie lękając się ciszy sklepień, rozpościerali je nad swą myślą czystą, niczmąconą. Taką wydawała się ona murom starym, gdy budziły w sobie zamarłe echa i opłakiwały przeszłość w milczeniu, smutku i pochyleniu starości. Roztęsknienie w nich czuć było wtedy do spoczynku i grobu, jaki zyskało życie, które wypełniało ją dawniej, i czuć było chęć usunięcia się z przed oczu tych, dla których straszydłem tylko, starości widmem i rzeczą, coraz mniej użyteczną były.

Te żale, tęsknoty i chęci wymownemi były w dzień, kiedy słońce ze śmiechem wyciągało na jaw wszystkie uszkodzenia, załamania, obnażenia cegieł z pod tynku, pęknięcia — wszystko co ludzie usiłowali kleić, malować, łatać, a co nieustannie, uporczywie i jakby z woli samych murów nasuwało się oczom. Podobne były te wydrążone bryły kamienne do starców, którym podają leki, a oni je odrzucają, przeświadczeni o konieczności śmierci i stęsknieni do niej. Słońce się z nich śmiało, a one wołały do niego: „Więc proś niech nas rozwalą, o proś!“

Gdy wieczór spowijał starą dzielnicę mgłami, a księżyc nad morzem ich płynąc, urabiał ze spowiniętych w nie budowli mgliste również i olbrzymie postacie, wtedy, choć cichem zawsze, lecz przenikliwszem jeszcze i bardziej wzruszającem było wołanie murów. Zdawało się, że zaklinają one kogoś by ich nie budził, nie kazał im żyć i nie przywoływał słońca, by światła pogasił a gwary życia stłumił. Wołały, że to nie mgły je pieszczą i tulą, lecz przyjazne tchnienia tych, którzy ich miłowali dawniej, że to przeszłość wraca i do snu ich kołysze, że one są już tylko widmem, skąpanem we mgle i cichości grobu.

Takie echa w starej dzielnicy płoszyły wieczorną porą przechodniów, którzy wyklinali, że ulice są ciemne, bruki na nich złe, a domy dokoła—podobne do zbójeckich kryjówek.

Lecz świt powracał, otwierając upust gwarom i ruchliwości ludzkiej, a mury półsenne z niechęcią przyglądały się znów niegdy niemilknącej i ruchliwej wiecznie fali życia i, stojąc nad nią a rozmyślając po starczemu, że była ona dawniej głęboka, głęboka i czysta, a dziś jest płytka, płytka i mętna, odsłaniały piętna swej starości, milcząco prosząc: na co my, rozwalcie już!

Między przestarzałemi dzielnicy tej dziećmi, kamieniczka Netela była zgrzybiałą babką. Nie nosiła żadnych ozdób, była żółta, niska, szczupła. Wątłe jej ściany trzymały się prosto dlatego tylko, że je ściskały budowle wprawdzie nie nowe, lecz potężne grubością murów. Dla ludzi, którzy nie patrzyli na nią złem i niechętnem okiem, kamienna ta staruszka wzruszającą się wydawała w skromności swej starczej i przytuleniu do bark synów — olbrzymów.

Do wnętrza jej wchodziło się po kilku kamiennych schodkach. Na pierwsze pię-

rolne, 5) szkoły ministeryum dróg komunikacyi, 6) szkoły marynarskie, 7) szkoły profesyonalne żeńskie, 8) sprawy ogólno pedagogiczne, 9) hygiena szkolna, 10) nauka rękodzieł, 11) szkoły techniczno-przemysłowe za granicą, 12) sztuka graficzna.

Program obrad: I. Zbadanie współczesnego stanu wykształcenia technicznego i przemysłowego w Rosyi; II Znaczenie wykształcenia ogólnego dla celów wykształcenia technicznego i przemysłowego. III. Wyjaśnienie spraw dotyczących programu naukowego szkół techniczno-przemysłowych, jak np.: Czy ogólne wykształcenie ma być prowadzone w dalszym ciągu w specyalnej szkole i w jakim stosunku wzajemnym znajdują się oba systemy wykształcenia. Jakie z systemów nauki rękodzieł oraz udzielania praktycznych wiadomości technicznych najlepiej odpowiadają celom rozmaitych typów szkół przemysłowo-technicznych (warsztaty wzorowe, fermy gospodarcze, praktyczne zajęcia w fabrykach, terminowanie u rzemieślników itd.). Udział zakładów naukowych w sprawie rozwoju odnośnych gałęzi przemysłu (dalsza działalność wychowańców szkół, udział instytucyj i osób pracujących w dziedzinie przemysłu, w powstawaniu szkół nowych; związek szkół z ich byłymi wychowańcami itd.). V. Rozpowszechnienie wiedzy technicznej po za szkołą (nauka praktyczna u rzemieślników i w fabrykach, nauka rzemiosł w więzieniach, drobny przemysł wiejski, kursy wieczorne i niedzielne, odczyty). VI. Kursy i szkoły do kształcenia ogólnego i technicznego dorosłych robotników. VII. Sprawy specyalne: pedagogiczne i utylitarne znaczenie pracy ręcznej w szkołach elementarnych ogólnych i niższych technicznych, znaczenie nauk przyrodzonych i rysownictwa, jako przedmiotów pomocniczych dla celów wykształcenia technicznego i przemysłowego; przygotowanie i niezbędne przymioty sił nauczycielskich, środki i instytucye pomocnicze (gabinety naukowe, muzea, biblioteki, czytelnie, ekskursye, wystawy przenośne), hygiena szkolna, podręczniki naukowe i wiele innych spraw.

Z WYSTAWY PARYSKIEJ.

Paryż, 28 czerwca.

(Historya domów mieszkalnych).

Teorya rozwoju znalazła swe zastosowanie w kilku działach wystawy paryskiej; jednem z tych zastosowań jest historya domów mieszkalnych. Znany budowniczy paryski, twórca Wielkiej Opery, Karol Garnier, przygotowując wraz z p. Ammanem obszerne dzieło p. t. *L'histoire de l'habitation humaine*, znalazł sposobność zilustrować tę pracę szeregiem budowli mieszkalnych naturalnej wielkości. Rozciągnęły się one na wystawie długą ulicą na pobrzeżu Sekwany, po obu stronach mostu Jena i wieży Eiffla.

Budowniczy zakreślił sobie plan nader śmiały i rozległy, postanowił bowiem odtworzyć z architektoniczną wiernością pewną liczbę domostw (jest ich razem 44), któreby dać mogły wyobrażenie o rozwoju, jakiemu uległo budownictwo domowe w ciągu wieków, a nawet całych epok i etapów historycznych i przedhistorycznych.

Plan tak rozległy musiał oczywiście spotkać się z wielkiemi trudnościami, a nawet okazać się w całej pełni niewykonalnym. Trudno istotnie nakreślić dla całej ludzkości jeden szemat rozwoju architektury mieszkalnej, ludzkość bowiem dzieli się i dzieliła na różne grupy i odłamy, które nie miały z sobą nic wspólnego, nie pozostawały w żadnych z sobą stosunkach i rozwijały się odrębnie. Jaką naprzykład nić rozwojową nawiązać pomiędzy budownictwem starożytnych egipcyan, chińczyków i amerykańskich asteków lub inków? Zapewne że istnieje pewna naturalna i wszędzie napotykana prawidłowość w przejściu od niższych szczebli do wyższych, we wszystkich gałęziach pracy ludzkiej, a więc i w budownictwie; pragnąc atoli wynaleźć wszędzie zasadniczą tę i przewodnią nić, trzebaby pozostać w sferze bardzo ogólnych i zawsze wątpliwych uogólnień.

Należało więc w praktyce porzucić ową idealną jedność planu w rozwoju architektury mieszkalnej i ograniczyć się do pewnych grup i pewnych epok w rozwoju ludzkości. I tu oczywiście spotkano się z trudnościami, okazały się luki, które należało zapełnić lub uzupełnić domysłami i przypuszczeniami. Mimo tych wszystkich jednak trudności, z powodu których próba p. Garniera spotkała się z licznymi zarzutami krytycznymi, dzieło jego przedstawia niezaprzeczoną ważność i jest pierwszem na tak rozległą próbę w tym kierunku. Budowniczy puszczał zresztą jaknajmniej wodze fantazyi, trzymając się ściśle zabytków historycznych i świadectw, które mu pozwoliły dokonać tego dzieła.

Po tych wstępnych uwagach idźmy ulicą, zabudowaną domami, w których odzwierciedlać się mają tysiące lat ludzkiego rozwoju. Dzieli się ona na trzy sekcye: pierwsza obejmuje czasy przedhistoryczne; druga okres historyczny z dwoma poddziałami: a) cywilizacye pierwotne i b) cywilizacye powstałe po podbojach aryjskich i wreszcie trzecia — cywilizacye odosobnione.

Podróż naszą zaczynamy od Avenue de la Bourdonnais, z prawej strony pola Marsowego, gdy twarzą zwrócimy się do Sekwany.

Oto naprzód wybornie naśladowane wydrążenie naturalne w skale, które zajmowali tak zwani „mieszkańcy jaskiniowi,“ inaczej „troglodyci.“ Ludzkie to legowisko skopiowane zostało z groty, odnalezionej w pobliżu Mentony. Do tych mniej więcej czasów odnosi się wiek kamienny, a raczej wiek krzemienia łupanego i polerowanego, używanego do narzędzi. Znany socyolog francuski, profesor Letourneau, rozwijał niezbyt dawno ciekawy temat o „przedhistoryczności żyjącej,“ wykazując, że najpierwsze stadya cywilizacyjne spotykać i dziś jeszcze można u różnych dzikich ludów pierwotnych, tak, że co dla jednych grup ludzkich jest przedhistorycznością, gubiącą się w dalekiej pomroce wieków zamierzchłych, to dla drugich jest jeszcze obecną rzeczywistością. Stosując tę samą tezę do mieszkań jaskiniowych, przykładu szukać daleko nie będziemy, w samych bowiem okolicach Paryża, w pieczarach potworzonych w łomach kamiennych, któremi otoczoną jest stolica Francyi, żyje dziś jeszcze cała ludność żebraków i nędzarzów, niemająca innego dachu nad głową.

Idźmy jednak dalej. Oto znowu całe *cité lacustre*, mieszkania a raczej szałasy nawodne, zbudowane na palach rzeki lub jeziora. Chaty takie odkopano niedawno na dnie jezior szwajcarskich, a i dziś jeszcze mieszkańcy Nowej Gwinei w ten sposób urządzają sobie siedziby. Trzy chaty różnego

---

tro trzeba było gramolić się po spadzistych, jak drabina, wschodach. Kto z nich nie spadł ten na pierwszej platformie, u skrętu wschodów, zatrzymał się z pewnością dla przywitania dwóch wizerunków na ścianie. Jednym była głowa rycerza, drugim— króla. Każda z nich umieszczona była na niebieskiem tle i ujęta w ramkę—zielone kółko. Rycerz posiadał pióropusz i hełm, podniesiona przyłbica odsłaniała profil jego oblicza, któremu od bardzo dawna usiłował on nadać marsową minę, ale wcale nie był straszny i za życia, bezwątpienia, muchy nawet nie skrzywdził. Król, jak się każdy domyśla, nosił na głowie koronę; dwa zwoje zielonych włosów okalały jego twarz pociągłą i żółtą, a opadając na ramiona, zawijały się w dwa symetryczne kółka. Nikt nie zdoła opisać, jak ten król łagodnie spoglądał i jak niepojęcie dobrym być musiał.

Jeszcze kilka niebezpiecznych skoków i jesteśmy u Netela Bauma.

* * *

Netel stary, Netel niedołężny, Netel niemądry już, jak dziecko.

Tak mówią ludzie, ale jacy?

Był pewien łotr, Glik, szalbierz Glik lub lichwiarz Glik, jeśli wolicie. Imienia nie pamiętam. Otóż Glik ten, który podobnie, jak Baum, żydem był a głównie złodziejem i niecnotą, prowadził od wielu lat proces z Baumem o stary dom. Nie wiem na czem opierał swoje pretensye i zdaje mi się, że nie miał nadziei wygrania w sądzie sprawy, ale był zmorą dla domu i dla Netela, gdyż pierwszemu groził, że go kupi i rozwali, a drugiego nazywał publicznie niedołężnym i głupim.

Nic na świecie nie wywołuje tak głośnego echa, jak nikczemność. Z tego to powodu wiele ust ludzkich powtarzało, że stary, żółty dom jest zakałą dla ulicy, a Netel zdziecinniałym starcem.

Wigdor i Szloma, synowie Netela nie zaprzeczali temu, ale kimże byli Wigdor i Szloma? Były to zwierzęta złe, ograniczone i szkodliwe. We dwóch dźwigali oni na swych sumieniach więcej ludzi rozpaczą zabitych i rękami ich do zbrodni popchniętych, niż wyliczyćby mógł najstraszniejszy rozbójnik, ukarany sprawiedliwością ludzką. Wigdor i Szloma nigdy sądownie karani nie byli, to więc co czynili, czynili z takim spokojem, z taką pewnością siebie, z takim dobrodusznym uśmiechem, na jaki nie zdobył by się żaden zbrodniarz, gdyby nie był upewniony, że to, co robi, jest dobrem, sprawiedliwem i pożytecznem. Oni byli upewnieni o tem w takim stopniu, że uważali lichwę, zysk, zdzierstwo, samolubstwo, nienawiść za zasadę, więcej niż za zasadę, za coś jedynego i przyswojonego każdemu człowiekowi, o ile nie jest zwaryowanym starcem, niedoświadczonem dzieckiem lub upośledzonym gojem, za coś takiego, o słuszności czego ani wątpić nie można, ani rozprawiać, ani jej dowodzić i o niej przekonywać, gdyż wypływa ona sama z siebie i leży w naturze rzeczy. Netel np. wątpił o tem i, sam będąc całe życie tylko kupcem win, nie zaś lichwiarzem, zdolny był żałować wyrobnika, którego narzędzia rzemieślnicze Wigdor za dług nieopłacony sprzedawał. Dlatego Wigdor i Szloma, podobni Glikowi, widzieli w ojcu swoim jakieś niezrozumiałe kalectwo duszy, które niczem innem być nie mogło, jak ułomnością lat starczych.

Starym on był, nawet bardzo, gdyż dobiegał osiemdziesięciu lat, ale umysł jego nie był jeszcze kalekim. Przeciwnie, od niewielu lat dopiero Netel zrzucił z myśli swojej ciężar, który ugniatał ją w ciągu całego prawie życia, i pozwolił jej pracować zupełnie swobodnie, nie dręcząc się obawą straconego czasu i korzyści. Starość przeszkadzała mu trochę w tej zapóźnionej robocie, myśli mu się wymykały i rozbiegały, męczyć się musiał by je powiązać i światło w nich rozniecić, ale miał teraz na to czasu wiele, mógł myśleć, rozpamiętywać, rozważać i nikt nań nie wołał: „Netel, zaniedbujesz twoje kupieckie sprawy!“

Netel był kupcem win. „Byłem biednym żydkiem i musiałem się dorabiać — tak się zaczyna wątek jego wspomnień — z początku u obcych ludzi pracowałem wiele, by wyżywić siebie samego i nic miałem wtedy nic; później pracowałem dwa razy

kształtu na palach osmolonych w ogniu, zbudowane na niewielkim stawku, naśladowane do złudzenia, z całem niemowlęctwem i naiwnością tej techniki pierwotnej. Tuż obok jeszcze chata z gliny, pokryta słomą, skopiowana z podobnego domostwa, odnalezionego w pobliżu jeziora Albano we Włoszech, będącego w czasach przedhistorycznych kraterem wulkanu, którego lawa zalała ongi chatę i zakonserwowała nam ją, jak lody bieguna północnego zachowały odkrytego przed laty kilkunastu mamuta...

Przechodzimy z kolei do domu egipskiego z czasów Ramzesa Mejomuna (1400 lat przed Chr.). Jest to już śliczny pałacyk, zbudowany z kamienia, piętrowy, z tarasem otoczonym piękną balustradą. Wysokie drzwi i okna zasłonięte ażurową siatką, nader misternego wyrobu. Dom cały pokryty barwnemi i gustownemi malowidłami. Wewnątrz mieści się małe muzeum starożytności egipskich: mumie, statuy i statuetki, drobne przedmioty do ozdoby. Egipski antykwaryusz, który sprzedaje te zabytki, zapewnia, że są autentyczne; istotnie, jeżeli podrabiane, to bardzo wiernie.

Tuż obok dom assyryjski (2000 lat przed Chr.) świadczy o architekturze masywnej i imponującej, odznaczającej się jednak czystością linij i harmonią kształtów. Jest to tylko fragment pałacu mieszkalnego, odtworzony według spółczesnej płaskorzeźby, znajdującej się w muzeum Luwru.

Dom fenicki jest ślicznym pałacykiem z misternie rzeźbionego drzewa na podwalinie kamiennej. Ubarwiony żywemi farbami; znać, że zamieszkiwał go lud bogaty, lubiący życie i handel, posiadający wspaniałą flotę, zbudowaną z cedrów libańskich, lud, który królował na morzu Śródziemnem lat blisko dwa tysiące, aż do zburzenia Tyru przez Aleksandra Wielkiego w r. 332 przed Chr. Z braku przechowanych wzorów dom odtworzony został w części przypuszczalnie, na podstawie jednak informacyj źródłowych.

Śpieszno nam jednak dalej. Mamy z kolei dom kamienny hebrajczyków z czasów pobytu ich w Palestynie, którą zamieszkiwali od roku mniej więcej 1500 przed Chr. do ostatecznego podbicia ich przez rzymian w r. 70 naszej ery. Dom w kształtach surowych, bez rzeźb i ozdób kolorowych, z tarasem, jak wszystkie, które dotąd oglądaliśmy.

Dom etruski niema już tarasu, tylko ganek wokoło pierwszego piętra, nad tym zaś dach, który tu pierwszy raz spotykamy, kryty dachówką glinianą. Dom jest z nieociosanego kamienia, kształtów wogóle harmonijnych i symetrycznych.

Przechodzimy z kolei do ludów aryjskich. Oto przed nami naprzód wysoki a wązki dwupiętrowy dom indyjski z r. 300 przed Chr., posiadający dach, ganki i małe kolumny; linie pogięte już i potargane, jak w starej architekturze indyjskiej. Dom perski z r. 500 przed Chr. przedstawia się bardzo wdzięcznie, w stylu zbliżonym do architektury maurytańskiej, wiadomo bowiem, że arabowie wynieśli z Persyi piękne swe budownictwo. Z kolei mamy śliczny dom grecki, a obok piękniejszy jeszcze rzymski z czasów Augusta. Ten odtworzony został według ruin odkopanych w Pompei. Jest on dosyć rozległy; mury pokryte barwnymi wzorami; jedna ściana zewnętrzna, t. z. *Album*, przeznaczona dla afiszów i ogłoszeń, które zostały również skopiowane, aż do różnych napisów i rysunków, któremi zabazgrali „album" łobuzowie pompejańscy, podobni w tem do naszych wyrostków, zamazujących ściany i mury węglem lub kredą.

Wątek jednak znowuż się urywa. Przyszły napady barbarzyńskie i miało się już pod koniec rzymskiemu światu i rzymskiej cywilizacyi. W r. 395, jak wiadomo, państwo rzymskie rozdzieliło się na zachodnie i wschodnie. Pierwsze padło niebawem pod ciosami barbarzyńców, drugie przetrwało do wieku XV, kiedy zdobyli je turcy.

W tem też miejscu mieści się ciężki wóz hunnów, na nim kosz i płócienne nakrycie. Nieopodal dom skandynawski, starannie zbudowany z drzewa i podobny do tych, jakie dzisiaj jeszcze spotykać można w Szwecyi lub Norwegii. Tu także mieści się grupa chat germańskich, otoczonych dobrze znanym nam płotem z chrustu.

Dom gallo-rzymski z czasów Klodoweyusza (wiek V) nosi na sobie ślady burzy, która przeciągnęła nad państwem rzymskiem, jest bowiem zbudowany z ruin i gruzów.

Zbliżamy się wreszcie do bardziej znanych nam typów budownictwa. Oto dom w stylu romańskim z wieku X; dalej dom średniowieczny z wieku XIII, czasy Ludwika św. Pierwsze piętro o dachu śpiczastym, zbudowane z poprzecznych balów drzewnych i wapna, przypomina domy, które dziś jeszcze spotkać można w Normandyi francuskiej; można nawet znaleźć analogię pomiędzy strukturą tą a „stylem wystawowym," jeżeli zamiast drzewa podstawimy żelazo. Piękny budynek renesansowy uzupełnia ten oddział.

Idziemy wciąż dalej i zbliżamy się z kolei do domu bizantyńskiego z wieku VI; jest to budynek piętrowy, bez dachu, dość ciężki. Stojący obok „dom słowiański" z w. XIII ma być chatą serbską; drewniany, posiada dół nieco węższy od pierwszego piętra; dolne ściany złożone ze szczelnie spojonych okrąglaków; dach śpiczasty, dom zewnątrz gdzieniegdzie upstrzony farbami. Dom ruski z wieku XV, zbudowany z drzewa, piętrowy, mający rodzaj drewnianej wieży przy wschodach zewnętrznych, prowadzących wprost na pierwsze piętro, przypomina architekturę skandynawską, obok śladów wpływu bizantyjskiego.

Zbliżamy się już jednak ku końcowi tej oryginalnej ulicy. Oto jeszcze dom arabski z wieku XI, murowany, zgrabny i gustowny, obok zaś ciężkie domiska kamienne z Sudanu.

Pozostała nam atoli jeszcze trzecia sekcya: cywilizacye odosobnione. A więc naprzód prześliczny, piętrowy dom japoński, ozdobny jak pudełko, lekki, harmonijny, z dużemi oknami i gankiem. Śliczny, lekki pałacyk, któryby się chciało postawić w ogrodzie. Stojący obok dom chiński mniej daleko jest powabnym ze swym zakręconym do góry, podwójnym dachem, w którym nam trudno dostrzedz coś pięknego. W inny jeszcze świat przenoszą nas szałasy i nory lapończyków, równie jak dziwaczne domostwa z wapna, trzciny i liści, budowane przez „murzynów afrykańskich," jak ogólnikowo powiada p. Garnier. Bardziej już interesującym jest dom indyan z Kanady, zbudowany w krąg, z palów, kory drzewnej itd.; jest on dosyć obszerny i nie brak mu nawet pewnej okazałości; przy drzwiach otwartych widzieć można indyanina i indyankę, wyrabiających różne ozdoby i zabawki z kory, drzewa itp. Indyanka o rysach regularnych, twarzy pociągłej i poważnym wyrazie, pomimo cery brązowej, uchodzić by mogła za paryżankę; ubraną też jest na sposób europejski; mężczyzna ma na sobie garnitur skórzany indyanina kanadyjskiego, koloru popielatego, skrojony wcale przyzwoicie.

---

więcej, bom się ożenił; potem przybyły dzieci i musiałem pracować znów dwa razy i trzy razy więcej, ale wtedy pracowałem już na swojem. Przyszła taka chwila, że mogłem się nie troszczyć o to, co ja będę jadł, i moja żona, i moje dzieci; interes był już bardzo rozwinięty, szedł dobrze, nie godziło go się opuszczać. Więc prowadziłem dalej mój handel—uczciwy handel dobrem winem, wiedzą to wszyscy — aż do czasu, kiedy nie mając się kim wyręczyć, a sam stary będąc, sprzedałem go. Moi synowie nie mieli ochoty do tego handlu, ich głowy pełne były spekulacyj, które przynosiły im więcej zysków, niż mnie mój handel, więc wyposażyłem ich i pozwoliłem robić, co im się podoba, a sam zacząłem odpoczywać, bo to mi się należało. Teraz, jeśli patrzę przed siebie — to widzę grób, a jeśli za siebie — to widzę długie, uczciwe, pracowite życie, a przecież nie mam spokoju... Tak, ja Netel Baum posiadam czyste sumienie, ale nie zarobiłem sobie na słodki spokój, i gdy patrzę na ten grób, i na to życie moje, to mi jest żal czegoś, i wzdycham, i chce mi się przed kimś skarzyć..."

Takby Netel opowiadał swoje życie, gdyby słowa przybywały na wołanie jego myśli i gdyby ktoś chciał ich słuchać.

Netel źle sypia. Przed zaśnięciem czytuje kartą z ksiąg *Talmudu* lub gazetę, ale już i oczy jego się męczą, już i głowa bezwładnie ciąży na poduszce, a sen nie przybywa. Wtedy przygasza lampkę i nie próbując zasnąć, zaczyna myśleć. Oczy jego błąkają się długo jeszcze po tem co go otacza, zanim myśl jego zaczepi o jakie wspomnienie.

Prócz oddechów śpiących ludzi nic nie mąci ciszy. Przygasłe blaski lampki, padając na ściany, wywołują na nich w mglistem przyćmieniu stare malowidła... Na jednej ścianie odmalowana jest purpurowa, rozchylona kotara, na innej jakieś naczynie z olbrzymiem winnem gronem, dalej zielony ptak z gałązką w dziobie, dalej kwiaty dziwaczne, liście, owoce napiętrzone w stosach. W tem miejscu, gdzie rozchylają się zwoje purpurowej kotary, wisi portret Mozesa Montefiore. Kto uczcił dobrego żyda, umieszczając tam jego wizerunek? Ta, która w dziecięcym napoły i szalonym napoły wylewie uczuć swoich i uwielbień całowała siwowłosą głowę na tym portrecie wtedy, gdy Netel opowiadał jej o życiu, o wielkiem sercu i umyśle dobrego żyda. Mała, dziecięco mała rączka Esterki zawiesiła w tem miejscu stary, spłowiały wizerunek...

Od kilkudziesięciu lat Netel zna najdrobniejsze szczegóły tych malowideł i tego portretu, jak zna wszystko, co znajduje się w alkowie. Zdaje mu się, że do każdej z tych rzeczy przylgła jakaś część jego życia.

Winne grono przypomina mu podróże do węgierskich winnic. Podróże te zabrały mu niejedną chwilę życia, a w zamian dały mu tyle pięknych obrazów, że gdyby je pamiętał wszystkie, to teraz nie odrywałby od nich wzroku. Ale nie pamięta, czasem przypomni sobie jakąś górę porosłą lasem, to przypomina jakieś rozległe, bezgraniczne płaszczyzny, ozłocone zbożem. Pamięta, że winnice ładnie pachniały... A i to jeszcze, że w ciągu długich podróży skracał sobie czas, idąc pieszo; gdy zmęczony odpoczywał pod drzewem, na brzegu urwiska lub tylko w polu, przychodziło mu życzenie, żeby się nigdy z tem miejscem nie rozstawać, żeby nie wracać do miasta i żyć zawsze pod gołem niebem... Był wtedy bardzo młody i prędko zapominał o tych marzeniach. Teraz je sobie przypomina, uśmiecha się do nich i żałuje czemu nie widział więcej gór, lasów, równin, oblanych złocistem morzem.

Malowidła tylko spłowiały i zblakły, lecz czas je zachował. Czemuż zniszczył, zabił, istotę, która przez lat wiele patrzała na nie? Czemuż w tym domu niema już Esterki, ukochanej, jak zorza pięknej, dobrej Esterki, Netelowej żony? Czemuż choć cień jej nie został, choć obraz jej, choć ślad jej stopy, choć echo jej głosu! Gdy Netel brał ją za żonę, ona była dzieckiem prawie, on bardzo młodym chłopcem; oboje byli tak jeszcze niemądrzy, że ani cenić, ani pojąć, ani czuć w każdej chwili nie umieli tej miłości wielkiej, jaka ich związała. W tym czasie tyle musieli pracować, iż nie mieli czasu myśleć o sobie, dość im było, że czuli

Domy asteków i inków, poważne budowle kamienne, przypominają nam widzianą już architekturę egipską i asyryjską; widocznie budował je lud cywilizowany.

Skończyliśmy. Dodać jeszcze musimy, że domy te nie stoją próżne, lecz posłużyły za pomieszczenie dla muzeów, składów starożytności, bazarów, a wreszcie „barów" (szynków) i kawiarni. W budynku z czasów odrodzenia mieści się warsztat szyb malowanych (vitraux), piękna zaś niewiasta w stroju XVI-go wieku zaprasza ciekawych do zwiedzenia zakładu. Słowem, ulica ta, historyczno-przedhistoryczna żyje i porusza się, przypominając nam, jak w kalejdoskopie minione wieki, narody i cywilizacye.

Parisis.

SPRAWY EKONOMICZNE.

TARYFY.

Zaledwie upłynęło osiem miesięcy od chwili wprowadzenia nowej taryfy zbożowej, a już się ujawniły wielkie jej braki. Skutkiem tego powtórnie utworzono komisyę dla rozpatrzenia tej sprawy. Główna dążność obecnych taryf jest taka, aby jaknajbardziej odciągać dostawy od portów czarnomorskich, a natomiast skierować je zapomocą ulg ku granicom zachodnim (do Libawy i Królewca), tudzież otwierać nowe rynki zbytu na południu dla gubernij wschodnich. Tym sposobem taryfy w jednej części państwa są wysokie, w drugiej — niskie. Pierwszą utworzono dla przestrzeni czarnoziemnych, mających styczność z portami południowymi. Taki stan rzeczy jest wielce uciążliwym dla rolników tamtejszych; wysoka taryfa, zniżając ceny zboża na miejscu, zmniejsza dochody produkcyi rolnej i zniechęca wytwórców. Przestrzenie czarnoziemne liczą ogólną długość dróg żelaznych 5,400 wiorst. Na stacyi tych kolei dowóz zboża wynosi przeszło 100 milionów pudów rocznie; za przewóz tego towaru według nowej taryfy nadpłaca się 1½ miliona rubli. Suma ta znacznie zmniejsza dochody wytwórców i przedsiębiorców. Największy wpływ taryfa wywiera na tych ostatnich, którzy posiadają zwykle znaczne zapasy zboża. Nabywając produkty handlarze, ze względu na wielkie wydatki taryfowe, płacą rolnikom o tyle mniej, o ile się podwyższyła taryfa, czyli na całą przestrzeń czarnoziemną wartość produktów zbożowych zmniejszyła się o 1½ miliona rubli rocznie. Kupiec jest zwykle panem położenia i zawsze w takich razach czyni wytwórcę zależnym od siebie. Jeśli taki stan potrwa dłużej, gospodarka rolna w kraju najbogatszym może bardzo ucierpieć. Tak utrzymują interesowani i zanoszą liczne skargi na system taryfowy. Zapewne te żażalenia są nieco przesadzone, nie można jednak usuwać ich na plan ostatni, jak to robi *Dień*, wysnuwając następne wnioski: Nowa taryfa zwiększyła wydatki przy transportach o 1—1½ kop. od puda. Jeśli liczyć przeciętny urodzaj żyta w gospodarstwach cokolwiek racyonalnych po 60 pudów na dziesięcinie, to opłata taryfowa obciąża każdą dziesięcinę na rs. 1 kop. 20. Ciężar ten uczuć się daje — powiada organ petersburski — ale jakże on jest nieznacznym w stosunku do wielu strat, które ponosi gospodarz wiejski skutkiem wpływów atmosferycznych i własnej niezaradności lub niedbalstwa. Pomijamy szkody, wyrządzane przez susze, owady, ale zwrócimy tylko uwagę na zło, pochodzące od samego wytwórcy: użyźnianie gruntu w niewłaściwej porze, niedbała orka — wycieńcza glebę. Jeśli straty z tego powodu wyniosą tylko dwa ziarna, to na całej dziesięcinie ubędzie 16 pudów, co nawet przy bardzo nizkiej cenie (40 kop. za pud) wyniesie 6 rs. 40 kop., tj. prawie 5 razy więcej szkody, niż z podwyższonej taryfy. W większości gospodarstw średnich (pomijając już małe) dotychczas w użyciu jest *socha*, skutkiem czego na uprawę jednej dziesięciny trzeba użyć o jeden dzień więcej, niż przy orce pługiem. Przy systemie dwu lub trzypolowym, na jedną dziesięcinę trzeba stracić trzy zbyteczne dni roboczych, czyli minimum 3 rs. W wielu gospodarstwach bydło jest utrzymywane bardzo niedbale. Lepsze dlań schronienie i karm mogłoby oszczędzić przynajmniej po 15 pudów siana na sztukę podczas zimy, czyli przy cenie 20 kop. za pud — 3 rs. Jeśli rolnik na każdą dziesięcinę używa do orki tylko dwie sztuki, to oszczędność stanowiłaby 6 rs.

Nie można tym dowodzeniom gazety odmówić słuszności w znacznej części. Gdybyśmy chcieli ze swej strony obliczyć straty, wynikające z gospodarstwa wstecznego, przybyłoby ich więcej. Nie usprawiedliwi to jednak systemu taryfowego. Tysiączne braki w gospodarstwie rolnem nie tak prędko dadzą się wyrównać; obciążanie więc produktów zbożowych zbyteczną opłatą dodatnio oddziałać nie może. Zresztą rolnik z podniesionej taryfy niema nawet tej pociechy, że jego ziarno nie ucierpi w przewozie. Tymczasem, jakeśmy wykazali w poprzednim numerze *Prawdy*, dobra sława pszenicy, pochodzącej z prowincyj czarnoziemnych, została na długo zabitą na rynkach zagranicznych, skutkiem niedbalstwa kolei Południowo-Zachodnich. Zwróćmy jeszcze uwagę na systematyczną nadprodukcyę, a przekonamy się, że wygórowana opłata przewozowa gra niepoślednią rolę w losach przemysłu zbożowego. Miejmy nadzieję, iż po powtórnem rozejrzeniu spraw taryfowych nastąpi pewna równowaga w opłatach za przewóz produktów rolnych.

HANDEL LEŚNY.

U nas w każdej niemal gałęzi przemysłu wiele rzeczy się załatwia „utartym zwyczajem." Najbardziej takiemu systemowi ulega gospodarka leśna. Właściciel, chcąc sprzedać drzewo (*nb.* nie mając pojęcia o jego wartości), wynajduje kupca, który zwykle bardzo nizko ocenia las. Właściciel nie zgadza się na warunki, wówczas handlarz, a raczej pełnomocnik spółki handlarzy okolicznych odchodzi, następnie zaś po pewnym czasie wysyła drugiego towarzysza, który jeszcze niżej szacuje towar. Ugoda znowu nie przychodzi do skutku. Trzeci pełnomocnik daje jeszcze mniej. Po takim obrocie rzeczy posiadacz lasu zwraca się zwykle do pierwszego, ale ten zrzeka się pozornie kupna; szlachcic więc, zmuszony ostatecznością, sprzedaje drzewo drugiemu lub trzeciemu członkowi spółki za cenę znacznie niższą od tej, którą pierwszy dawał. Na tem się nie kończy. Po zawarciu umowy nabywca wypłaca czwartą lub trzecią część umówionej sumy; wyrąb trwa lat kilka, a więc druga rata bywa uiszczana po roku albo i później, to jest wtedy, gdy spekulant pierwsze zaliczenie ze znacznymi procentami odbierze. Dzięki takiej metodzie, handlarz nabywający las za 20,000 rs., potrzebuje mieć tylko 5,000 rs. Czystego zaś dochodu po potrąceniu wszelkich kosztów otrzyma — 20,000 rs. Nie jest to przesada;

się przy sobie, że byli razem. A przecież nie mogło być nikogo piękniejszego od Esterki i nie mogło być większej rozkoszy, jak usiąść przy niej, patrzeć na nią i słuchać jej głosu, zapomniawszy o całym świecie. Netel pozwalał sobie czasem marzyć o takiem życiu, i zawsze odkładał je na później. Nawet nie całował Esterki, nawet jej nie pieścił, gdyż głowa innemi myślami była zaprzątnięta i czasu na to nie było. Kiedyś będzie czas, kiedyś głowa będzie nie tak skłopotana. Tymczasem on postarzał, ona straciła urodę i umarła zmęczona, spracowana.

Teraz Netel przypomina sobie wszystko: jaki był kolor włosów Esterki, i jaki był jej uśmiech, i jaką piosnkę nuciła — kołysząc małego Wigdora, i w jakie suknie się ubierała, i jakie wstążki lubiła; pamięta, że nie cierpiała Glika, że była dobrą dla małej dziewczyny sierocej, z ulicy wziętej i w domu ich chowanej. Widzi ją tylko młodą i nie może przypomnieć, jak wyglądała później, gdy się zestarzała. Pod starczemi powiekami tkwi obraz jej pięknej główki, uśpionej na rozmiotanych po poduszce włosach; widzi jej pierś szczupłą, drobną, jak u dziewczęcia, i nierówno, pośpiesznie oddychającą; dostrzega drgania, które we śnie przebiegają lekko to po ręce jej, to po piersiach lub ustach... Wszystko pamięta i wszystkiego żałuje...

„Biedna Esterko moja, któż nam wróci naszą młodość? Gdzie i kiedy wypowiemy tę miłość, o której tylko milczeć umieliśmy? Życie nasze było szare, a w rękach ściskaliśmy brylanty, które je oświecić mogły." Takby wypowiedział Netel żal swój, gdyby słowa posłuszne były jego myśli.

Gdyby Esterka żyła, ze swych wnuków wszystkich kochałaby najwięcej małego Joela, syna Wigdora. Chłopiec ten jest do niej podobny. Posiada jej oczy, szare, żywe, odbijające ruchliwą duszę, kąpiącą się w dobroci i słodyczy; jej kształtny, cienki nosek z ruchomemi nozdrzami; czystą i smagłą cerę, która prześwieca czasem bladością, a czasem pokrywa różowym cieniem; czyste białka i źrenice; drobne, białe zęby i usta malutkie. W chłopcu tym, jak niegdyś w Esterce, coś nieustannie kipi, rzuca nim, lub rozmarza go. Będzie tak pięknym jak Esterka, ale czy będzie tak dobrym? Myśl ta bardzo niepokoi Netela.

Czemu Wigdor i Szloma nie są tacy, jakimi byli ich rodzice? Czemu dziś jest pełno takich ludzi, jak Glik? Dawniej nie było ich tylu i jeśli rodzice byli porządnymi, uczciwymi ludźmi, to i dzieci ich byli takimi. Netel nie wyobrażał sobie nigdy, żeby można było urządzić życie nie tak, jak ono było u niego urządzone, żeby można było—nie pracować. Tymczasem nagle wyrosła koło niego masa Glików, a własni jego synowie niewiadomo kiedy oswoili się z nowymi warunkami życia, pojęli je, zastosowali, dziś wierzyć nie chcą, że można żyć inaczej i są obcymi dla własnego ojca. Czy więc on Netel winien jest temu, że synowie jego nie pracują, tylko żyją z lichwy i zdzierstwa? Jakże on miał to uprzedzić, kiedy nie wiedział jak i kiedy nastąpiła jakaś wielka zmiana na świecie. Dziś widzi tylko, że wiele rzeczy mu się nie podoba. W tym domu płacz ludzki nie był nigdy skargą skrzywdzonych, a teraz Wigdor i Szloma wyrzucają za drzwi tylu biedaków, którzy przychodzą prosić, by nie sprzedawano im za długi mienia. Jak uczynić, żeby Joel był lepszym od swego ojca? Jak uczynić, żeby Joel mógł zobaczyć góry, lasy wielkie i równiny bezgraniczne i żeby na starość nie żałował, iż nie miał czasu kochać nikogo.

Myśli Netela gubią się w jakimś wielkim niepokoju i pokrywają się żalem. Znów pragnie on skarżyć się przed kimś: „czemu starość moja nie jest zadowoloną i spokojną, czego brak było memu życiu?..."

(D. n.).

F. G. Brodowski.

zdarzały się wypadki większych stosunkowo zysków. P. Szelągowski w *Rolniku i hodowcy* zarzuca szlachcie źle zrozumianą oszczędność na techniku leśnym, któryby las oszacował i dał możność sprzedaży korzystnej. Taki specyalista, zdaniem autora, powinien każdą sztukę drzewa z osobna wymierzyć, obliczyć na „kubiki,“ oszacować według cen praktykowanych w okolicy i na każdej sztuce położyć numer porządkowy. Z ułożonym wykazem na podstawie takich obliczeń właściciel może rozpocząć sprzedaż cząstkową, nie wychodząc z mieszkania, przy pomocy pierwszego lepszego znającego numery gajowego, któryby odbierał w lesie od nabywców kwity i wydawał drzewa wyszczególnione na nich numerami. Po przeprowadzeniu takiej cząstkowej sprzedaży — mówi projektodawca — osiągnie właściciel w ciągu roku z pewnością taką kwotę, jakąby mu kupiec zaliczył w pierwszej racie przy sprzedaży na ogół. Jeżeli w lesie, przeznaczonym na sprzedaż, znajdą się sztuki zdatne na handel zagraniczny, to kupcy, widząc że właściciel da sobie bez nich radę, zgłoszą się po pewnym czasie i ofiarują za sztuki wyborowe wyższą nad oszacowanie kwotę. P. Sz. dla poparcia niedołęztwa szlacheckiego, przytacza przykłady, na które patrzył sam zblizka: P. O., obywatel z pow. rawskiego, sprzedał kilkanaście włók lasu bez poprzedniego oszacowania. Skutki były takie, że nietylko nie wziął nawet $1/3$ wartości lasu, bo sprzedał włókę po 4,500 rs. (warta ona jest przeszło 15,000 rs.), ale stracił jeszcze i na tem, że przy spisywaniu kontraktu zapomniano wyłączyć nasienników w miejscowości niezdatnej pod uprawę roli, a gdzie po wycięciu miał powstać las nowy. P. K., obywatelowi z pow. sandomierskiego, po długich targach dawali żydzi po 170 rs. za mórg lasu. Po oszacowaniu okazało się, że każdy mórg wart najmniej 250 rs. Z tego wnosić można — kończy autor — iżby właściciele zyskiwali przy sprzedaży cząstkowej, po poprzedniem szczegółowem oszacowaniu przez fachowego technika. Rady p. Sz. są piękne; ponieważ jednak znaczna większość naszych obywateli ziemskich zawsze potrzebuje pieniędzy „na gwałt,“ sprzedaż więc drzewa będzie nadal się odbywać „utartym zwyczajem,“ dopóki przepisy prawne nie rozciągną troskliwej opieki nad lasami prywatnymi.

Drogomir.

BADANIA NAUKOWE.

BADANIA NAD DZIEJAMI WŁASNOŚCI *).

Dotychczasowe zawieruchy dziejowe są mniej lub więcej gwałtownemi starciami, wybuchającemi wśród nieustającego wrzenia antagonizmów klasowych pomiędzy oddzielnemi warstwami społecznemi. Te zapasy w ostatecznym swym wyniku zmierzają do wywołania tej lub innej zmiany w istniejącem ukształtowaniu własności. Niepodobna też wskazać ani jednego donioslego przewrotu politycznego, któremu by nie towarzyszyło mniej lub więcej poważne naruszenie jakiejś lub czyjejś własności, ani też znaczniejszej zmiany w formie własności bez głębszych przekształceń w sferze politycznej. Zamieszki społeczne, nie wywołujące takich skutków w sferze własności, są zwykle małoznaczącemi zaburzeniami bez trwalszego śladu dziejowego. Nic dziwna zatem, że ilekroć wypadnie podnieść zagadnienie własności, roztrząsa się je nie inaczej, jak ze stanowiska interesów dnia, gdzie wyłącznie chodzi o odparcie napaści i obronę interesów klasowych. Dość przejrzeć rozprawy, zarówno publicystyczne, jak i uczone, napisane kiedykolwiek w tej mierze. Z po za frazesów, dowodów, faktów zawsze w końcu wynurzy się szermierka klasowa. Widać to przewybornie na dotychczasowych poszukiwaniach w zakresie tego przedmiotu. Z rewolucyą francuską zapanowała własność prywatna, oparta na zupełnej swobodzie posiadania a stanowiąca prawnie odtworzenie staro-rzymskiej, kwiryckiej. Ujrzała ona światło dzienne wśród zapasów z formami posiadania, właściwemi ustawom feodalnej i cechowej, a zaledwie jako tako pokonała starych wrogów, wystąpił nowy przeciwnik, warstwa robotnicza, wystawiająca zgoła nowe ideały w tym względzie. To też prace Thiersa, Bastiata i in. są jednem olbrzymiem fałszowaniem faktów. Dla udowodnienia swojej prawowitości, własność kapitalistyczna obdarzyła już pierwotnego człowieka wszystkiemi pożądaniami i popędami duszy kapitalistycznej i stosownie przekręcała pierwociny kultury ludzkiej. Wobec porządków feodalnych ogłosiła siebie za jedynie zgodną z prawami natury i bezwzględnie sprawiedliwą; nie mogąc zaś zaprzeczyć tej okoliczności, że u ludów dzikich trudno jakoś doszukać się pojęcia o prywatnej własności ziemskiej, znalazła wyjście — w odmówieniu im wszelkich wyobrażeń tego rodzaju i wykazaniu, że bez prywatnego władania ziemi niemożliwą jest uprawa roli i wszelka cywilizacya... Jednakże po za szermierką, w imię interesu klasowego gwałcącą wszelką prawdę dziejową, odbywały się i szły poszukiwania sumienne. W Niemczech Maurer grzebie się w starych archiwach i z zapomnienia wyciąga staroczesną markę niemiecką, tem samem dowodząc, iż rolnictwo istniało przy kolektywnych formach władania ziemią. Rząd niderlandzki na Sumatrze i Jawie, angielski w Indyach Przedgangesowych dochodzą do niezmiernych zawikłań wskutek ryczałtowego stosowania kodeksów i pojęć własności kwiryckiej. Zmuszeni obrotem sprawy do rozpatrzenia się w istniejących warunkach, spostrzegają wśród tubylców wykończone ukształtowanie własności ziemskiej, odmienne od form europejskich, bo oparte na kolektywizmie posiadania, lecz tem nie mniej pozwalające na względnie wysoki stopień kultury rolnej. W Rosyi, z powodu zbliżającej się reformy włościańskiej, zaczynają się poszukiwania szczegółowsze nad „obszczyną“ rolną. Słowem, nauka znalazła się w posiadaniu licznego materyału, wykazującego, że własność prywatna nie jest ani wyłączną i bezwzględną, ani też jedynie cywilizacyjną postacią władania ziemskiego. Atoli wyniki poszukiwań, zawarte w urzędowych wydawnictwach, lub w czasopismach specyalnych i monografiach, pozostawały mało znane szerszemu ogółowi. Dopiero Laveleye pierwszy jął się streszczenia tych rozpierzchłych usiłowań. Dokonał tego we *Własności pierwotnej*, gdzie zresztą rozpatruje tylko dzieje gruntowej. Wbrew hałaśliwej frazeologii dotychczasowych już nie badaczów lecz wprost adwokatów posiadania jednostkowego, wykazał on, że własność prywatna ziemska jest tworem czasów stosunkowo późniejszych i że w wielu miejscowościach władanie zbiorowe istnieje jako forma panująca, że ono stanowi punkt wyjścia dla historycznego rozwoju tegoczesnej Europy i dotrwała tu i owdzie, w postaci bądź szczątkowej, bądź bardzo znacznej, w wielu z pośród najwyżej posuniętych cywilizacyjnie krajów. Wywołane wrażenie było olbrzymie, jak można wnioskować z listów Milla. Dość zresztą powiedzieć, że niema chyba w Europie ani jednego znaczniejszego społeczeństwa, w którem oddawna nie przetłomaczonoby pracy belgijskiego uczonego. Nasze pozyskało książkę Laveleya dopiero w obecnym roku. Wprawdzie przysłowie powiada, że lepiej późno aniżeli nigdy, trudno jednak zastosować tę zasadę do dzieł naukowych, których wartość zniża się w miarę przybywania materyału faktycznego. Szczęściem, *Własność pierwotna* znalazła się w wyjątkowem położeniu. Zasób faktów, zdobytych przez naukę, wzrósł od czasów pierwszego wydania niepomiernie; dzieło dzięki temu nie wyczerpuje już przedmiotu, lecz mimo to nowe badania nie zadały kłamu Laveleyowskiemu przedstawieniu rzeczy. Usiłowano zresztą temu zapobiedz; tak np. zaopatrzono niemiecki przekład mnóstwem uzupełnień bardzo poważnych, dodano np. cały rozdział o społecznej organizacyi starodawnego mocarstwa inków. Szkoda tylko, że polscy tłomacze pogardzili tym przykładem i woleli pozostać przy właściwym oryginale *). Z drugiej strony, książka Laveleye'a jest, a raczej była do obecnego roku jedyną, która usiłowała zebrać cały istniejący materyał w treściwem zestawieniu i oświetlić dzieje własności ze stanowiska etnograficznego. Istniała wprawdzie książka Zibera *Zarys pierwotnej kultury ekonomicznej*, lecz rozpatrywała ona wyłącznie zjawiska ekonomiczne, spostrzegane na niższych stopniach rozwoju historycznego. Reszta dobytku naukowego leżała rozproszona w małodostępnych lub miejscowego znaczenia rozprawach. Lukę tę zapełnił swojem dziełem Letourneau. Można stawiać różne zarzuty jego *Ewolucyi własności*, lecz mówić o porównawczej wartości niepodobna, gdyż w dotychczasowej literaturze przedmiotu jest to książka pierwsza w swym rodzaju, mająca się do pracy Laveleyea, jak całość do pojedynczego rozdziału. Dzieło to, jak i inne socyologiczne poszukiwania francuskiego badacza, jest oparte na „jedynie płodnej“ metodzie — etnograficznej, przyjmującej, że niższe szczepy ludzkości są niejako żywem zakrzepnięciem pierwotnych stanów ludów cywilizacyjnych, rozwój zaś społeczny, lubo podąża kilku niezależnemi ścieżkami w odrębnych ogniskach globu ziemskiego, zawsze kroczy według tych samych praw zasadniczych. „Nawet zwyczaje Chin rzucają światło na życie społeczne pierwotnego Rzymu.“ Letourneau nietylko rozpatruje dzieje własności ziemskiej, lecz wszelkiej—rzeczy i bogactw martwych, ruchomych i nieruchomych, oraz osób i istot żyjących. Co więcej, jak wiadomo czytelnikowi *Prawdy* z niedawnego naszego artykułu, usiłuje on wyszukać rodowód własności, a przynajmniej ożywiających ją uczuć i popędów aż w świecie zwierzęcym. W ten sposób zakreśla swym badaniom bardzo rozległe widnokręgi, w których przed oczami czytelnika przesuwają się w następczej kolejności i złożoności różne postacie władania i spadku — w zakresie całego rodu ludzkiego, wówczas gdy Laveleye nie spuszcza wzroku z niektórych uprzywilejowanych historycznie szczepów. Wprawdzie mamy tutaj do czynienia jedynie z przedstawieniem owej następczości w jej różnych ogniwach etnograficznych, bez dostatecznego wyświetlenia sprężyn, pod wpływem których ukazywały się nowe i upadały dawne formy władania i użytkowania; słowem, ewolucyę własności zadziergano bez należytego uwzględniania rozwoju źródeł utrzymania i metod produkcyi. Jest to, naszem zdaniem, najważniejsza wada książki; dzięki temu, zwłaszcza upadek systemu feodalnego a powstanie krańcowego indywidualizmu ekonomicznego zostały oświetlone powierzchownie. Przywoływanie jakiegoś

*) Laveleye: *Własność pierwotna*, Warszawa. Letourneau *Evolution de la proprieté*

*) Zauważyć musimy, że przekład polski zostawia dużo do życzenia pod względem technicznym. Tłomacze, stosownie do francuskich końcówek deklinacyjnych, o gminie jawańskiej w liczbie pojedynczej mówią „dessa,“ w mnogiej, zamiast spolszczenia końcówki, stawiają „dessas“! Coś podobnego zauważyliśmy kilkakrotnie. Nie mając oryginału francuskiego pod ręką, nie możemy sądzić o wartości tłomaczenia; *Wisła* jednakże z tego powodu stawia bardzo poważne zarzuty.

„ducha indywidualizmu“ dla wytłomaczenia zachodzących zmian niewiele wyjaśnia. Zresztą autor umiał zręcznie wziąć się do materyału. Wykazuje on, że prywatne posiadanie gruntów wśród rodu ludzkiego należy raczej zaliczyć do wyjątków. Kolektywizm rolny jest przeciwnie zasadą, panuje bowiem w Rosyi u kilkudziesięciu milionów ludności wiejskiej, w Słowiańszczyźnie południowej, u wszystkich ludów rolnych Azyi lubo z mniejszem lub większem wypaczeniem, u licznych rolników Afryki. Ludzkość sama wyszła z komunizmu trzodowego. Grunta, na których tułają się ludy myśliwskie, przedstawiają zbiorową własność całego plemienia, solidarność zaś wzajemna i braterskie dzielenie się każdem zdobytem dobrem — jest tu panującą zasadą. Z tego stanu pierwotnego zaczyna wydzielać się własność prywatna w rozmaity sposób, lecz najprzód zawsze tylko w obrębie oręży i ozdób. Ziemia długo pozostaje we władaniu zbiorowem; nawet jeszcze w okresie rolniczym widzieć można olbrzymie zbiorowe domy ze wspólnem spichlerzem i wspólnością spożywania. Po ozdobach i orężu indywidualizacya wkracza w zakres łupów wojennych a między nimi i — branek. Wreszcie ogarnia ona i trzody. W końcu nastaje chwila indywidualizacyi i w uprawie rolnej. Po raz pierwszy ukazuje się ona w tej postaci, iż grunta orne są własnością zbiorową, ale kolejno co lat kilka dzieloną pomiędzy członków gminy (np. obszczyna ruska, dessa jawańska), paśniki zaś i lasy znajdują się nietylko w zbiorowem władaniu, ale i w zbiorowem użytkowaniu. Peryodyczne dzielenie odbywa się w coraz dłuższych przeciągach, aż wreszcie ustaje. Z rozkładu gminy zjawia się spółkowina domowa, oparta jeszcze na szerokim komunizmie rodzinnym (np. zadruga słowiańska). Z czasem i ona rozkłada się. Ziemia zostaje ostatecznie przyrównaną do innych rzeczy— niewolników, sprzętów i poczyna jako towar przechodzić z rąk do rąk. Rozwój ten stosunków kroczy równolegle z rozprzęganiem się dawnych organizmów społecznych, opartych na pokrewieństwie krwi, i zamiast pierwotnej równości, wytwarza zróżniczkowanie społeczno-hierarchiczne. Jednocześnie zanikają uczucia społeczne solidarności wzajemnej i sobkostwo poczyna hardo podnosić głowę. W ten sposób, formuła dotychczasowego rozwoju własności prowadzi od solidarności i kolektywizmu do rozdrobnienia gruntów na drobne, prywatne cząstki, by w ciągu dalszym zmierzać ku zeŝrodkowaniu tych cząsteczek w kilku rękach i wydziedziczeniu tłumów. Ewolucya własności, a zanik szlachetniejszych uczuć idą z sobą w parze. Rzecz to zrozumiała. Póki człowiek stał bezbronny wobec niezmierzonej potęgi wrogów, szukał ucieczki w sojuszu z innymi; lecz kiedy dzięki postępowi wygrał walkę na ważniejszych punktach, popędy egoistyczne, powściągane dawniej koniecznością życiową, dążą do objawienia się. Zupełne uprywatnienie własności jest jednocześnie okresem dziejowego sobkostwa i chciwości. Najbrudniejsze chucie poczynają panować wśród społeczeństwa, rozdzieranego jednocześnie przez zażartą wojnę pomiędzy nielicznymi posiadaczami a wydziedziczonemi tłuszczami. Ewolucya własności już kilkakrotnie w dziejach ludzkich przebiegła tę całą drogę rozwojową — od kolektywizmu do indywidualizmu, od solidarności do prywatnego sobkostwa z zapanowaniem posiadłości kwiryckiej. Obrazu tego dostarcza starożytna Hellada; ten sam widok spotykamy w klasycznym Rzymie. Atoli, we wszystkich dotychczasowych cywilizacyach, zapanowanie własności prywatnej, nieznającej żadnego hamulca i powściągu, jest zarazem zwiastunem i źródłem rychłego rozkładu. Niektórzy usilują dowieść, że przyczyna upadku ustrojów starożytnych tkwiła w wewnętrznej słabości rasowej, lecz rzeczywiście jedynym czynnikiem zniedołężnienia umysłowego były stosunki własności, które skupiły obszary ziemskie i bogactwa ruchome w nielicznych rękach.

Zagadnienie to nabiera szczególnej wagi wobec warunków tegoczesnych. Europejski świat cywilizowany dobiega właśnie cyklu, na którym stanęły cywilizacye dotychczasowe. To samo rozluźnienie wszelkiej solidarności a zapanowanie ekonomicznego sobkostwa, to samo wsiąkanie drobnych majątków w olbrzymie fortuny! Ostatnie słowo w tym kierunku wypowiedziały Stany Zjednoczone, gdzie zamiast milionera ukazuje się zgoła nowe pojęcie: miliardera. Czyżby to wszystko oznaczało, że nasza tegoczesna kultura doszła kresu, u którego stoczyć się winna w otchłań, jak to uczyniły Rzym i Hellada? Czyżby miała ona zginąć pod obuchem systemu najmickiego, jak starożytne państwa zrobiły dzięki niewolnictwu i kolonatowi? Letourneau stawia powyższe pytanie z całą powagą. Mniema jednakże, iż stulecie, które stworzyło naukę socyologiczną, tem samem dowodzi wielkiego zasobu sił żywotnych i pozwala ufać, że znajdzie środki ocalenia. Pojmie ono, że walka wszystkich przeciw każdemu, a każdego przeciw wszystkim w żaden sposób nie może przedstawiać trwałej zasady dla porządku społecznego i odwoła się do haseł altruizmu i solidarności w celu ustanowienia nowej budowy społecznej, lecz z zachowaniem zupełnem a szerokiem pobudki jednostkowej. Idealnym byłby ustrój, któryby każdemu swemu członkowi przy jego wejściu do społeczeństwa dawał jednakie szanse w walce życiowej, pozwalał na zupełny rozkwit wszystkich zdolności i skłonności, uszanował swobodę osobniczą i otoczył opieką wszelką niemoc przyrodzoną, w którymby wreszcie nie istniała żadna uprzywilejowana niesprawiedliwość i każdy zajmował stanowisko odpowiednie uzdolnieniu i zasłudze. Atoli, ażeby urzeczywistnić te plany na szeroką skalę, społeczeństwo winno posiadać olbrzymie środki. Letourneau sądzi, że ono je znajdzie w powolnem znoszeniu prawa spadkowego aż do zupełnego unicestwienia. Solidarność przyszła wcieli w życie zasady dawnej społeczności, lecz nie ją samą, gdyż w niej jednostce nie pozostawiono żadnej pobudki i oprzeć się będzie winna na drobnych kantonach lub okręgach, dostatecznie wielkich, aby terytoryum wydzielone mogło żyć samodzielnie pod względem ekonomicznym, lecz nie tyle, aby uniemożliwiono wskutek tego wzajemny sojusz życiowy. „Kości są rzucone. Walka pomiędzy starym a nowym światem rozpoczęta. Jaki będzie rezultat? Należę do wierzących w przyszłość“ — takiem jest ostateczne wyznanie wiary ze strony badacza francuskiego.

Rzecz ciekawa, że zachowawczy Laveleye zadaje sobie te same niemal pytania i odpowiada w podobny sposób jak radykalista Letourneau. Wykazuje on, że społeczeństwa nowożytne stanęły wobec zagadnienia, którego starożytność nie zdołała rozwiązać i pod ciężarem którego runęła—zapasów pomiędzy rzeszami wydziedziczonemi z wszelkiego władania a nielicznymi bogaczami. Położenie zaś w jego rozumieniu jest tem groźniejsze, że po stronie warstw nieposiadających stoją obecnie religia i filozofia, oraz że klasy te są pracującemi, nie tak jak plebejusze rzymscy, i walka oznacza powstrzymanie wielkiej produkcyi. Dla zapobieżenia stoczeniu się cywilizacyi w otchłań, doradza on oparcie społeczeństwa na zasadzie: „każdemu według zasług“ i zerwanie z prywatną własnością gruntów. Przynajmniej takie stanowisko zajął on w *Własności pierwotnej*, w innych bowiem pracach przeniewierza się tym poglądom. Jako ideał stosunków rolnych dla Europy zachodniej stawia on *obszczynę* wielkoruską lub *dessę* jawańską. Zapomina, że jeżeli prywatna własność gruntów oznacza nędzę dla milionów ludu, natomiast gmina rolna przedstawia urządzenie przestarzałe, które bynajmniej nie może odpowiedzieć wymaganiom obecnych sił wytwórczych, ani żądaniom indywidualności osobniczej. Jeżeli nastały czasy upadku własności prywatnej, następczynią jej nie może być gmina rolna, jeżeli ludzkość nie ma się cofnąć wstecz. Była ona dobrą — dla człowieka-barbarzyńcy z jego niewyszukaną techniką, słabym rozwojem potrzeb umysłowych i usposobieniem polipa, całe życie siedzącego w tem samem miejscu.

Lud. Krz.

KILKA UWAG O SAMOBÓJSTWIE

pod względem psychologicznym.

I.

Wygłaszane w różnych okolicznościach życia zdania i zapatrywania na czyny ludzkie i ich powody świadczą najwymowniej, że dokładniejsze mamy pojęcia o tem, co się dzieje na księżycu, niżeli o tem, co zachodzi w duszy człowieka, gdy ten przystępuje do czynu, który ma stanowić o jego losie. Uwydatnia się to szczególnie w naszych sądach o samobójstwie i w wydawanych wyrokach na tych, którzy się go dopuszczają.

Samobójstwo w naszych czasach stało się wypadkiem, jeżeli nie codziennym, to w każdym razie bardzo zwykłym. Jakoż oswoiliśmy się z niem już tak dalece, że przestało ono nas przerażać, pomimo że dotąd nie zatraciło zagadkowego charakteru i żywo porusza wyobraźnię, otwierając obszerne pole domysłom, pociągając do naśladowania. Domysły te bywają zwykle bardzo fantastyczne i dowodzą, że człowiek był i pozostanie na długo jeszcze najtrudniejszą dla niego samego zagadką. Pomijając wszystkie inne trudności, jakie się nastręczają w poważnem badaniu natury ludzkiej, jedną z najcięższych jest to, że każdy z nas w ocenianiu postępowania innych uważa siebie za typ całej ludzkości i podług swych własnych uczuć i pragnień sądzi o uczuciach i usiłowaniach wszystkich.

Dla poczciwców, którzy cenią wartość życia ludzkiego podług sumy dostępnych dla każdego wygód i codziennych przyjemności, samobójstwo jest prostem szaleństwem, bezpośredniem następstwem obłędu umysłowego. Niezdolni pojąć, jak można pozbawić się dobrowolnie życia, które samo przez się jest przyjemnem i wystarczającem na wszystkie cierpienia i którego strzeże instynkt samozachowawczy, zapatrują się na nie jako na czyn mimowolny, wykonywany bezwiednie pod wpływem ślepego popędu, powstającego nagle wskutek pewnego zboczenia w sprawach fizyologicznych, albo też zmian anatomicznych w nerwowym układzie, spowodowanych wadliwościami organizmu. Przeciwnie, dla ludzi bogobojnych, trzymających się niezachwianie tradycyjnej wiary w wolną wolę, zawsze czynną i nigdy nie tracącą zdolności opierania się najsilniejszym pobudkom, każde wogóle samobójstwo, bez względu na przyczyny, jakie je spowodowały, jest grzechem, zbrodnią, która dla samego przykładu powinna być potępioną bezwarunkowo. Nie umiejąc zdać sobie sprawy ze stanu umysłowego, w jakim ono zwykle się dokonywa, wyobrażają sobie, że targnąć się na własne życie jest tem samem, co uczynić zakład hazardowny, albo postawić na kartę cały majątek. To też z niezachwianą powagą mędrców, czujących swą wyższość, wygłaszają dla przestrogi dogmat: człowiek niema prawa pozbawiać się życia, którego sobie nie dał, a zapominają, że społeczeństwo, które również życia człowiekowi nie daje, odbiera mu je z czystem sumieniem i uważa to za swe prawo naturalne.

Oba te zapatrywania, wzięte w swej wyłączności, sprzeciwiają się faktom, dziś już dokładnie poznanym — i dlatego są fałszywe, jakkolwiek nie w jednakowej mierze. Bliższe zbadanie rzeczy wykazuje dowodnie, że jak nie każde samobójstwo bywa czynem fatalnym, dokonywanym bezwiednie, pod wpływem ślepego popędu, tak z drugiej strony żadne nie jest aktem wolnej woli dla tej prostej przyczyny, że takiej woli człowiek nie posiada. Jest podobnem przywidzeniem, jak i tak zwany instynkt samozachowawczy, pojęty jako tajemnicza władza, poprzedzająca wszelkie doświadczenie i świadoma z góry wszystkiego, co sprzyja życiu i co mu zagraża.

Przez wolną wolę pojmują pewną władzę duszy, ściśle odgraniczoną od myślenia, uczucia i skłonności organicznych i od nich w niczem niezależną. Tak pojęta, jest ona abstrakcyą, pozbawioną wszelkiej treści konkretnej. Mimo to jednak przyznaje się jej bezwzględne panowanie nad ową treścią, a przynajmniej możność jego, nigdy nieustającą i zawsze zdolną do czynnego wystąpienia. Zbytecznem byłoby zastanawiać się dłużej nad sprzecznościami, tkwiącemi w powyższem pojmowaniu woli; wystarczy tu zaznaczyć, że psychologia współczesna odrzuca teoryę władz, jako niczem nieuzasadnione uosobienie. Przez władzę nie rozumie ona nic innego, jak wyraz, oznaczający pewną grupę zjawisk psychicznych, różniących się od innych właściwemi sobie cechami rodzajowemi. W tem znaczeniu wola jest zbiorową nazwą tych zjawisk psychicznych, które występują pod wpływem zewnętrznych czynników, jako oddziaływanie na nie żyjącego organizmu w celu przystosowania się do nich lub też przystosowania ich do swych potrzeb. Zjawiska te, pojedynczo rozważane, są mniej lub więcej złożone, gdyż każda z nich jest wypadkową wielu naraz pierwiastków duchowych — wrażeń, pojęć, uczuć, chęci itd. Postanowienie, będące głównym aktem woli, nie jest niczem innem, jak świadomem przyjęciem lub odrzuceniem pewnego zamiaru, pewnej chęci, powstającej pod wpływem zewnętrznym wrażeń, które budzą w nas uczucie przyjemne lub przykre. Przyjęcie to lub odrzucenie nie dokonywa się dowolnie. Uczucie przyjemne skłania nas do usiłowań w celu przedłużenia, zapewnienia go sobie nadal, przykre — pozbycia się go jaknajrychlej, zabezpieczenia się od niego. Każde atoli uczucie pozostaje w pewnym stosunku do innych uczuć, między któremi jedne są trwalsze i głębsze, silniej połączone ze skłonnościami organicznemi, inne bardziej zmienne i płytsze, nie mające trwałego ugruntowania w sercu. O ile dane uczucie zgadza się lub sprzeciwia uczuciom pierwszego rodzaju, o tyle staje się ono dla nas pożądanem lub wstrętnem, o tyle skłania nas do przyjęcia go, chociażby samo w sobie było przykrem, lub odrzucenia go, chociażby było przyjemnem. W postanowieniu swem opieramy się zawsze na uczuciach najsilniejszych, najgłębszych — i jeżeli wyrzekamy się na razie uczucia przyjemnego, to dlatego, by się zabezpieczyć od przykrości, jakie w dalszem następstwie musiałyby nas dotknąć. Naturalnie, że wybór taki zależy od stopnia przewidywania, które różnem jest w różnych osobnikach. Wola przeto, w całości wzięta, jest czynnością psychiczną, w której biorą udział wszystkie siły umysłowe i moralne tak świadome, jak i nieświadome — pojęcia, uczucia, chęci i skłonności. Im rozum bardziej jest rozwinięty, im pamięć żywsza i, co za tem idzie — przewidywanie dokładniejsze: im uczucia wyższe bardziej są ugruntowane, tem też postanowienia pod ich wpływem powzięte i czyny dokonane przybierają charakter aktu dowolnego w tem znaczeniu, że są następstwem rozmysłu, oceniania pobudek, nie zaś bezpośrednim skutkiem chwilowego wrażenia lub chęci. Czyny, dokonywane bez zastanawiania się, bez uświadomienia dalszych następstw—są czynami mimowolnymi; należą do nich te, których bezpośrednią przyczyną jest uniesienie, zapał niepohamowana niczem chęć, nałogowe upodobania i wstręty, tudzież chwilowe popędy, mające swe źródło bądź w odziedziczonym ustroju nerwowego układu, bądź w patologicznych jego zmianach.

Z zagadnieniem woli w bezpośrednim związku zostają pytania, dotyczące instynktu samozachowawczego.

Czem się dzieje, że człowiek przywiązuje się do życia i ceni je nad wszystko, pomimo wszelkich trosk i cierpień, jakie się z niem łączą, boi on się śmierci, chociaż ta przynosi mu ukojenie i ostateczny wypoczynek? Dzieje się to mocą instynktu samozachowawczego — odpowiadają. Dlaczego człowiek goni za przyjemnościami, a unika cierpienia i znajduje pod tym względem dokładne ostrzeżenia w naturalnych swych upodobaniach i wstrętach? Dlaczego przed grożącem mu niebezpieczeństwem wykonywa pewne ruchy mimowolne, które jak gdyby z góry były obrachowane na to, by go uchronić od ciosu lub oddalić od niebezpieczeństwa? Na te pytania, tak samo, jak i na poprzednie, odpowiadają: dzieje się to mocą instynktu samozachowawczego.

Czemże jest ów instynkt? Jest to pierwotna potęga, stanowiąca niejako tło wszelkiej istoty żyjącej, główną dźwignię życia, jedyny punkt otwarcia w walce o byt. Będąc darem przyrody, a właściwie pierwszego aktu stworzenia, wyprzedza ona wszelkie doświadczenie i świadoma jest z góry tego, co sprzyja życiu i co mu zagraża. Chwila głębszego zastanowienia wystarcza do poznania, że tego rodzaju odpowiedź rzeczy nie wyjaśnia. Jest to określenie czysto słowne, które daje nam poznać znaczenie wyrazu, ale bynajmniej nie tłomaczy, jaka jest istota przedmiotu, tym wyrazem oznaczonego. Bądź co bądź, ci, co się zadawalają powyższą odpowiedzią, biorą ją za podstawę swego rozumowania i wyprowadzają taki wniosek: ponieważ instynkt samozachowawczy jest najpotężniejszym popędem natury ludzkiej, zatem każdy, kto przeciwko popędowi temu działa, gwałci prawa natury i tem samem dowodzi, że stan jego umysłu jest nienormalny. Gdybyśmy ten wniosek uznali za słuszny, musielibyśmy z konieczności przyjąć za prawdziwe wszystkie jego logiczne następstwa, między któremi najważniejszym jest następujący: najbardziej normalnym stanem umysłu ludzkiego jest stan dzikości i barbarzyństwa, albowiem ludy dzikie nie znają samobójstwa i dopiero wtedy występuje ono i staje się coraz częstszem, gdy ludzkość wznosi się na coraz wyższy stopień cywilizacyi. Paradoksalność tego twierdzenia jest zbyt widoczną, ażeby potrzeba było dłużej nad niem się zastanawiać. W każdym razie dowodzi ona w sposób widoczny, że i wniosek, z którego to twierdzenie zostało wyprowadzone, nie może być słusznym. Między stanem umysłu normalnym a nienormalnym ścisłej granicy przeprowadzić nie można i wszelkie pokuszenia o dokładne określenie typu natury ludzkiej, mogącego nam służyć za punkt wyjścia w odróżnianiu tego, co jest normalnem, a co nienormalnem w postępowaniu ludzkiem, są i bodaj czy nie pozostaną na zawsze bezowocnemi. Stan normalny i nienormalny znamy tylko w objawach krańcowych. Cała zaś sfera objawów umysłowych, leżąca między obłędem umysłowym a rozsądkiem praktycznym, nastręcza tyle wątpliwości dotąd nierozgmatwanych, że byłoby prostą niedorzecznością jedne z nich zaliczyć do normalnych, inne do nienormalnych. Czem jest np. twierdzenie, że stanowi objaw chorobowy, pewien rodzaj zboczenia umysłowego? Paradoksem! A jednakże ten paradoks nic jest tak bardzo pozbawionym sensu, ażebyśmy go mogli odrzucić z całą bezwzględnością, jako czystą niedorzeczność.

Chcąc znaleźć dokładną odpowiedź na wszystkie pytania, dotyczące instynktu samozachowawczego, musimy jej szukać w głównych założeniach teoryi rozwojowej, która we wszystkich objawach życia upatruje bezpośrednie następstwo przystosowania się organizmu do zewnętrznego otoczenia i doboru naturalnego, tudzież prawa dziedziczności. Organizm zwierzęcy nie jest niczem innem, jak sumą doświadczenia wszystkich jego przodków w prostej linii: powstaje on drogą odziedziczenia mimowolnych zmian organicznych, wywoływanych doświadczeniem osobniczem. To więc, co poprzedza doświadczenie osobnicze, nie koniecznie ma być jakąś potęgą pierwotną, mającą początek nadprzyrodzony, lecz może być poprostu naturalnym objawem doświadczenia rasowego.

Życie jest samo przez się przyjemnem; poczucie swego istnienia dostarcza człowiekowi pewnej sumy przyjemności, która jest zdolna zrównoważyć najcięższe nieraz cierpienia. Śmierć, jako zaprzeczenie życia, musi w naszej wyobraźni występować w charakterze przykrości, tem większej, że należytego o niej pojęcia mieć nie możemy. W każdym razie przyjemność, jakiej nam dostarcza życie samo przez się, w oderwaniu od towarzyszących mu okoliczności, nie jest bezwarunkową. Zależy ona jaknajściślej od posiadanej przez organizm energii życiowej i od sposobu zużywania jej. Życie, rozważane pod względem dynamicznym, jest ciągłą przemianą materyi i energii, które czerpią się z zewnątrz w formie pokarmów. Ilość posiadanej przez organizm energii jest ograniczona i zależy tak od warunków cielesnego ustroju, jak i od odżywiania się. Indywidualne różnice są pod tym względem nieskończenie wielkie. Dla każdego osobnika jest pewne maximum, do którego wznieść się może jego energia żywotna i pewne minimum, poniżej którego spaść nie może bez niebezpieczeństwa dla życia. Zbliżając się do maximum, energia żywotna daje poczucie siły, zadowolenie i wiarę w siebie; obniżając się do minimum, staje się powodem znużenia, zniechęcenia, podejrzliwości i bojaźni.

(D. c. n.).

Władysław Kozłowski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Michał Wołowski: *Ostatni piorun*, powieść w trzech częściach. Waszawa, 1889.

P. Wołowski jest przeważnie pisarzem tendencyjnym, publicystą, który pragnie żywić ogół choćby zwyczajnym razowcem, byle zdrowym i posilnym. Nie o szaty troszczy się, jeno o serce, o treść. Badając literaturę historyczną końca wieku XVIII, przeglądając źródła, ówczesne pamiętniki, raptularze, sprawozdania i polityczne pamflety, powiedział w końcu: „Napisano wiele tomów, zasmarowano całe stosy papieru celem udowodnienia, że było to społeczeństwo zwyrodniałem, spodlonem, zgniłem niemal. Sąd taki przez lat dziesiątek w ustach pp. Walewskich, Szujskich i Bobrzyńskich uchodził za szczyt politycznej mądrości. Oporným rzucano w twarz zarzut głupoty; małoduszni tedy, a tych jest wielu, pragnąc uchodzić za mądrych, z ujmą godności obywatelskiej czcili nowe przykazania. Widzę jednak w owych rocznikach wiele kart czystych i niezbłoconych. Opowiem ich treść w sposób zajmujący i przystępny, napiszę powieść, opowiadanie historyczne raczej."

Autor *Jasnych i ciemnych obrazków* nie posiada ścisłej metody badań, do cechu hi-

storycznego nie należy. Wyobraźnia jego, dość chętnie miesza erotykę z socyologią, a bohaterów obdarza prócz chęci do służby obywatelskiej sercem tak gorącem, że częstokroć miłość niweczy tę pierwszą w połowie drogi.

Przed oczami czytelnika przesuwa się konfederacya barska, sejm czteroletni, trzeci maj. Czytamy o prądach, które wstrząsały krajem, o reformach szlachetnych i ludzkich, o przykładach bohaterstwa i poświęcenia dla ogółu. Nie pominięto usiłowań równouprawnienia mieszczaństwa i ludu. Szczególnie temu ostatniemu p. Wołowski wiele miejsca poświęcił. Maksym, przedstawiciel ludu, jest jedną z najważniejszych osobistości utworu. Czynów, brudnych i czarnych, mało; służą one raczej do lepszego uwydatnienia jawnych i czystych. Ludzie dobrzy i szlachetni stoją w pierwszym rzędzie; źli, jakby ze wstydu, cofają się na tyły, po za innych. Utwór jest zabarwiony takiem różowem oświetleniem, że mimowoli trzeba na końcu szepnąć: „Fantazya, fantazya! Tak dobrze nie było."

Tu przychodzimy do ujemnych stron powieści. Ogrom bajki i przedmiotu nie pozwolił rzeźbić szczegółów; postaciom brak wypukłości, brak jej i opisom. Autor śladem dawnych reżyserów wywiesza tabliczkę z napisem „las;" obowiązkiem czytelników jest ów las sobie wyobrazić. A czyż to nie przyjemność dopomagać pisarzowi w pracy twórczej? Zresztą jeden lubi dęby, inny sosny, tu więc może wybierać podług upodobania.

Potężne wypadki dziejowe powołały na scenę wielu działaczy; p. Wołowskiego tłum ten przeraża i krępuje swobodę jego ruchów. Charakter dziejowy osób historycznych nie wszędzie wiernie zachowany. Gorajski np. sam za często „robi historyę," tak, że mimowoli można uważać śmierć jego za przyczynę wielu istotnych nieszczęść dziejowych. Sensacyjne epizody, gwoli urozmaicenia opowieści, obniżają częstokroć poziom całego utworu. Owo obniżenie wycisnęło ślady i na stylu, którego zwyczajny tok tylko w kilku ważniejszych ustępach zmienia się na dźwięki silne i ogniste.

A. Witski.

T E A T R.

(Melpomena na letniem mieszkaniu).

Jednem ze znamion szlachty galicyjskiej jest służalstwo. Tam „właściciel większej posiadłości" o ile pawiem zdoła być dla uboższych, o tyle giętko zgina plecy wobec dostojnika austryackiego. Chyba bogowie greccy mniej odbierali hołdów od śmiertelnych, aniżeli w Galicyi tajny radca, ekscelencya i kawaler kilku orderów. Ze służalstwem łączy się obłuda. Szlachta kłania się tym dostojnikom w nadziei, że dostanie za to odznaczenie lub synekurę; te zabiegi przecież dla świata noszą miano „służby dla dobra publicznego." Grzech rodzi się z grzechu; za służalstwem i obłudą idzie marnotrawstwo. Dostojnego gościa nie zjedna szlachta ukłonami, gdyż człowiek każdy, prócz próżności, posiada bardzo wiele innych słabostek. A więc na jego spotkanie występuje dobra kuchnia, uroczyste przyjęcie, przejażdżki; to wszystko pociąga za sobą wydatki. Gdy te ostatnie przerastają miarę możności, zowie się to marnotrawstwem.

Na tle tych trzech wad osnuł Michał Bałucki wyborną komedyę p. t. *Ciężkie czasy.* (Belle-Vue). Do obywatela Lechickiego zjeżdżają się sąsiedzi na naradę celem założenia „Banku ratunkowego dla szlachty." W czasie tych obrad nadchodzi wiadomość, że do Lechickiego niebawem przybędzie książę Tuttofanti, wysoki dostojnik w Wiedniu. Chce on kupić w okolicy majątek. Na tę wieść w kąt idą narady; wszyscy pragną urządzić księciu uroczyste przyjęcie pod pozorem, by zjednać go dla kraju. W istocie zaś każdy zamierza poprzeć własne sprawy. Młody Lechicki widzi się już w swych dumaniach prezesem banku; stary Kwaskiewicz marzy o karyerze dla syna, który, choć jest „skończonym osłem, na urzędnika do banku się przyda, boć i tak już niemało szlacheckich osłów siedzi po tych bankach;" Bajkowski kocha ekscelencyę i chce darować mu swą wieś pod skromnym warunkiem, żeby zapłacił żydowskie dłużki, a ofiarodawcę obdarzył posadą w banku; Giętkowski, którego chlubą jest podobieństwo do hrabiego Zdzisia, tęskni do tytułu barona. Przygotowania tedy niemałym nakładem pieniężnym rozpoczęto; zamki karciane rosną i rosną, prędzej nawet od długów, zaciąganych z powodu tego przyjęcia, aż wreszcie nadchodzi oczekiwany dzień. Przynosi on jednak szereg rozczarowań. Książę kupił majątek w Styryi i telegraficznie odwołał swój przyjazd. Szlachcie gorzkie łzy cisną się do oczów; tyle wydatków napróżno. Nagle z chmurnego nieba strzela jasny promyk; w pokoju córki Lechickiego kogoś zamknięto, pod parkanem stoi powóz, przy nim rozmawia dwóch niemców.

— To książę! — wołają uradowani obywatele. Lechicki go zamknął, by sam mógł zagarnąć wszelkie dobrodziejstwa. Lecz my nie damy oszukiwać się, musimy zobaczyć ekscelencyę!

I nuże szturmować do drzwi, mimo, że starszy Lechicki zaklinał się, iż o niczem nie wie. W samej rzeczy była tam ukrytą ex-kochanka jego syna, Natalka, która aż z Wiednia przybyła domagać się pieniędzy od przeniewierczego wielbiciela. Ten w obawie, by kto nie zobaczył natrętnej dziewczyny, obiecał niebawem przynieść jej żądany weksel, tymczasowo zaś zamknął ją w pokoju siostry. Gdy szlachta szturmuje, syn wyznaje ojcu prawdę, a ten ostatni odbiera mu klucz i ciska napastnikom pod nogi. Rzucają się oni do drzwi, otwierają je i ku wielkiemu zdziwieniu spotykają — Karola Rembowskiego, narzeczonego córki Lechickiego. Karol pragnąc bowiem uratować dobre imię przyszłego szwagra, z całą powagą oznajmia, że książę był w pokoju *incognito* i właśnie odjechał, poleciwszy poprzednio podziękować szlachcie za jej gościnność. Względy polityczne zmusiły go do tak krótkiego pobytu. Dwa pierwsze wyrazy magicznie działają na szlachtę, która uspakaja się, przybiera tajemnicze miny i ani domyśla się, że Karol tylnem wyjściem przeprowadził Natalkę do powozu, a sam został na jej miejscu.

Zarzucano tu i owdzie temu utworowi, pełnemu ruchu i satyry, że nie zgadza się z rzeczywistością.

— To paszkwil na szlachtę! — wołano.

Tymczasem paszkwilem przeciwnie jest zarzut powyższy. Bałucki odfotografował szlachtę galicyjską całkiem wiernie, a nawet za blado. Każdy, kto był przez dłuższy czas w Galicyi, widział takich młodych Lechickich, którzy prawią o praktyczności i potrzebie ratowania szlachty, kupują setkę cygar za 80 guldenów, mają kochanki i na dwutygodniowy pobyt w mieście wydają 2,000 guldenów. A czyż nie prawdzimym jest ów Bajkowski, który twierdzi, że nigdy nie usuwał się od pracy dla kraju. Tą pracą zaś są urządzania bankietów, przyjęć, picia i jedzenia na przedwyborczych traktamentach. A ów Giętkowski, zrujnowany i zadłużony, który udaje magnata i arystokratę, czyż nie włóczy się po krakowskich i lwowskich salonach w setkach egzemplarzy? Czyż nie zdjętym z rzeczywistości jest ów program przyjęcia ekscelencyi? Owe banderye, owe muzyki, hymny, wesela krakowskie, owe stroje widywaliśmy tysiąckrotnie. Dzieje się zaś to zawsze pod hasłem: „Ugośćmy go, aby nas poznał!" Słusznie odpowiada na owe słowa stary Rembowski: „Jeżeli chcemy, aby nas poznał, wystąpmy w łachmanach i bez butów, boć u nas bieda i bieda tylko." Jakże żywcem Bałucki pochwycił owo nadawanie każdym odwiedzinom dostojników tła politycznego, owe wątpliwości dyplomatyczno-ceremoniałowe, które kończą się wezwaniem starosty o poradę.

Krótko mówiąc, autor dał wierny obraz stanu umysłowego i materyalnego szlachty galicyjskiej. Nie on winien, że wypadło to malowidło tak smutno i tak niekorzystnie dla pragnących uchodzić za czoło narodu.

Z powieści Bolesława Prusa p. t. *Pałac i rudera* dwaj artyści teatru „Wodewil" ukuli melodramat, dość ciężki i niezgrabny. Pp. Popławski i Staszewski zabrali się do pracy pospiesznie i niedbale ją też ukończyli. Powodzenie więc nie uwieńczyło ich trudów, jeno jeszcze raz dostarczyło estetykom dowodu na stwierdzenie faktu, że inaczej odbywa się proces twórczy w głowie powieściopisarza, a inaczej u dramaturga. Kto wie nawet, czy niema zupełnej słuszności Fryderyk Spielhagen w swych *Beiträge zur Theorie und Technik das Romans*, twierdząc, że pomysł, któremu autor nie nadał stanowczej formy artystycznej przed obmyśleniem go, raz na zawsze będzie chybionym.

Słówko jeszcze o *Czarnych widmach* p. Borowicza (Eldorado). Jest to zbyt słaby utwór, aby go poddawać krytycznej ocenie. Wspominamy zaś o nim tylko dlatego, by wytknąć autorowi grzech, którego dopuścił się. *Czarne widma* są melodramatem mieszczańskim, powinny tedy widza pouczyć, wzruszyć i zabawić. Dlaczego więc autor wprowadził do swego dzieła wstrętną scenę, w której złodzieje obrzucają się karczemnemi przezwiskami? Widocznie poszedł on śladem innego, młodego autora, który swój duży talent komedyopisarski marnuje na tworzenie sztuk, przepełnionych złoczyńcami i wstrętną ich gwarą.

Pamiętajcie, panowie, że „wam to zabawą, nam idzie o życie." Wstyd robić ze sceny jaskinię zbójecką!

Adam Nowicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Moralna powaga *Przeglądu katolickiego* w jego parafii dziennikarskiej. — Czego on wymaga od swych owieczek. — Ich skoki w bok od prostej drogi. — Kazanie z powodu wspomnień o Jordanie Brunie. — Rozmowa z rozsądkiem. — Wymagająca dusza. — Zmartwychwstanie p. Halperta i nagłe ukazanie się p. Piltza. — Powrót do pierwszej miłości. — Uwagi *Ateneum* o zatargu na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. — Kulawe porównanie. — Zapowiedź wesela.

Przegląd katolicki nie jest organem żadnej władzy, żadnej partyi, nie jest nawet pismem szeroko czytanem, gdyż wielu księży (zwłaszcza wiejskich) wcale jego kartek nie rozcina i poprzestaje na teologii... *Wieku* lub *Słowa*, a gdyby nie obowiązek, co najmniej połowa abonentów zrzekłaby się tego przysmaku duchownego. Mimo to hypnotyzuje on naszą prasę konserwatywną, jak boa wiewiórki. Nie dość, że nie pozwala jej na najmniejsze zboczenie od prawomyślności, ale nawet każe jej być, jak sam jest, fanatyczną. Naturalnie o najmniejszej krytyce działań księży lub uznaniu dla uczonych, wpisanych na indeks, nie może być mowy: pierwsi są wszyscy „zacnymi kaplanami," drudzy — „potwarcami Kościoła." We wszystkich opisywanych wypadkach, gdzie tylko księdza można wysunąć na plan pierwszy, tam koniecznie należy go wyprowadzić z medalem zasługi; on najenergiczniej ratuje przy pożarach, on

pierwszy z jałmużną spieszy do powodzian, on nawet niema nigdy innych pieniędzy (gdy je złodzieje kradną), tylko zebrane na odnowienie kościoła. A jeżeli już coś takiego zbroi (jak Stojałowski we Lwowie), z czego w żaden sposób nimbusu zawiesić nad głową niepodobna, to trzeba mu ją przynajmniej nakryć czapką niewidymką. Wolno pod pręgierzem wystawiać w prasie ludzi wszelkiego rodzaju i pokazywać hańbę, której cień pada na ich niewinne rodziny, ale nie wolno potępiać najgorszego księdza, chociaż on niema dzieci, którychby oszczędzać należało i jest jedynym człowiekiem, który nie dzieli się z nikim swoją sromotą i nie przekazuje jej w spadku. Tak chce i rozkazuje *Przegląd katolicki*, a owczarnia dziennikarska pokornie go słucha. Ale — jak rzekłem — nie zadawala on się uległością negatywną i wymaga żarliwości pozytywnej; ażeby mu dogodzić, nie dość osłaniać grzechy „zacnych kapłanów,“ trzeba jeszcze znieważać bezbożników. Właśnie teraz nadarzyła mu się sposobność do przypomnienia pismom tego drugiego obowiązku z powodu uroczystości włoskiej i wspomnień o Jordanie Brunie. Proboszcz naszej parafii dziennikarskiej wystąpił z gwałtownem (innych nie używa) kazaniem, w którem zwłaszcza oblał gorącą smołą i zapalił jako ostrzegającą pochodnię jeden z *Kuryerów*. Cóż znowu, czyżby którykolwiek z nich, wiecznie załzawionych i rozczulonych do „zacnych kapłanów,“ śmiał położyć najskromniejszy wianuszek pod pomnikiem wyklętego filozofa? Broń Boże, tylko za mało mu... nawymyślał. Nic to nie znaczy, że Bruno był myślicielem głębokim, że przekonania swoje okupił śmiercią, że popełniono na nim jeden z tych gwałtów, których echo nie zamilknie nigdy w historyi — należy go jeszcze po trzech stuleciach znieważać, bezcześcić i tak palić jego cień, jak spalono ciało. Nasza prasa bogobojna spełniła wogóle swoją powinność względem męczennika, jak umiała: jedne jej organy plunęły w jego popioły, drugie zelżyły go od hultajów i sodomitów, inne— mniej skłonne do brutalstw — zauważyły tylko z przepysznym, choć mimowolnym humorem, że umrzeć za swe przekonania — „to godne uznania, *ale nie tak znowu wyjątkowe i nadzwyczajne*, aby kwalifikowało się do najwyższej glory i.“ Ale tego wszystkiego było nie dosyć *Przeglądowi katolickiemu*. On by dopiero się uraczył, gdyby każde prawomyślne działo w bateryi prasy naszej strzeliło takimi kartaczami: J. Bruno — to urwipołeć, łotr, bluźnierca, pijak, złodziej, sodomita, socyalista, wolnomularz, zbrodniarz, oszust (w pismach ludowych możnaby jeszcze dodać: geometra). Wtedy nasz pleban czułby się zadowolonym i pobłogosławił kartaczownice. Niestety, nie wszystkie wyrzuciły z siebie takie naboje.

Chciałbym sfukanych kanonierów obronić, a przynajmniej usprawiedliwić. Nie potrzebuję tu zaś odwoływać się do „masonów,“ ale zapytam rozsądku redakcyi *Przeglądu katolickiego*: czy podobna żądać, ażeby nawet w tak pobożnem społeczeństwie, jak nasze, ludzie ukształceni poczuli szczerze tę odrazę, której doznaje załoga watykańska, przyglądając się ze swych okien uroczystemu upamiętnianiu okrutnego morderstwa jej poprzedników, dokonanego na człowieku dziś czczonym? Czy podobna, ażeby oni zbudzili w sobie sztucznie nienawiść do myśliciela, którego historya myśli człowieczej zaliczyła do swych mędrców, a papież spalić kazał? Czy podobna wreszcie, ażeby jakikolwiek naród i jego pisma przejęły się duchem księży? Czyż to jest możliwe, ażeby cała prasa powlekła się barwą *Przeglądu katolickiego*? Mnie się zdaje, że nawet nie schodząc ze stanowiska religijnego, trzeba tu uznać pewną różnicę i stopniowanie prawomyślności. Jak innego zawodu człowiek będzie zawsze gorszym telegrafistą, buchhalterem lub garbarzem, niż telegrafista, buchhalter lub garbarz, tak samo nawet najlepsza owca Kościoła musi być mniej prawowierną, niż jej pasterz. Zachowawcze pisma nasze robią, co mogą: nie zapominają nigdy w swych artykułach rozpuścić trochę soli *Przeglądu katolickiego*; ale żeby się zamieniły na Wieliczkę ultramontanizmu i wszystko wyrabiały z jego soli — tego wymagać od nich nie można, bo to przechodzi ich ludzkie siły. Zapewne, trudno mieszkańcowi z pod równika odtworzyć sobie potrzeby mieszkańca z pod bieguna, więc może się mylę, ale sądzę, że gdybym ja był tak duszą prasy warszawskiej, jak *Przegląd katolicki*, byłbym z mojego ciała zupełnie zadowolony. Tylko, zgodnie z zasadą co do grzesznych członków, wyłupałbym sobie z jedno oko, odciął kilka palców (tj. organy postępowe), a za resztę dziękowałbym Bogu w każdej modlitwie. Bo zlitujże się, ojcze duchowny, gdzie ty widzisz równie bogobojną, a nadewszystko powadze duchowieństwa uległą prasę? W Niemczech — we Francyi — w Anglii — we Włoszech? Ach, chyba jej nie znasz. Wszędzie na jednego archikonfraterzystę literackiego przypada dziesięciu wolnomularzy, a u nas? Całkiem odwrotny stosunek. Dwa, no, od biedy — trzy pisma nie odśpiewują ci *et cum spiritu tuo*, a 60 kilka organistuje, dziaduje, dzwoni, plebanię zamiata, lub przynajmniej kolana księży obejmuje. Doprawdy, czego tu jeszcze więcej w grzesznym świecie żądać można?

Kiedy urzędnicy kolei Nadwiślańskiej wyprawiali sobie bale składkowe z powodu „dymisyi“ p. Halperta, a prasa warszawska przygrywała im całą orkiestrą do tego wesela, ja radziłem (w nr. 8 *Prawdy*) krzyczeć: „Halpert umarł — niech żyje Halpert!“ „Przykro — pisałem wówczas — bardzo mi przykro obwieścić wam tę nowinę podczas karnawału, ale wolę was ostrzedz, ażebyście nie zasnęli w złudzeniach i nie obudzili się w rozczarowaniu.“ Niestety—obudzili się. P. Halpert, któty na chwilę dał nurka w zarządzie, wypłynął znowu jako jego prezes. Z drugiej strony wszakże nie należy przeceniać tej zmiany jasełek, jak nie należało lekceważyć poprzedniej. Kurczyworek zyskał formalnie nieco większą władzę, ale faktycznie nigdy znacznego wpływu na losy kolei nie tracił. Komu to nie przedstawia się dość jasnem, ten niech sobie przypomni p. Lysena, który nie był prezesem, ani nawet wiceprezesem, tylko akcyonaryuszem i członkiem Rady zarządzającej, a jednakże jak Samson wstrząsał przybytkiem drogi Warszawsko-Wiedeńskiej i omal go nie zwalił na głowy „dobra powszechnego“ — czyli kapitalistów miejscowych. I chociaż nie zatwierdzono mu zarządu i okrojono dywidendę, musi on jednak coś znaczyć, skoro — jak donoszą gazety — akcyonaryusze nasi odbędą pielgrzymkę do Berlina, ażeby tam pod opieką p. Hansemana pogodzić się z belgami. O tej zgodzie później — tymczasem wracam do p. Halperta i nowego Olimpu kolei Nadwiślańskiej. W Olimpie tym po za gęstym obłokiem ukazało się oblicze p. Piltza, który został wybrany członkiem-zastępcą do Rady. Gdziekolwiek się pojawia p. Piltz, nigdy nas nie dziwi, bo jest to właściwością wszystkich Figarów, ażeby byli *çi et là*, tem bardziej, że *on revient toujours à ses premiers amours*, a redaktor *Kraju* od posady na kolei rozpoczął swoją karyerę płodną w niespodzianki i przemiany, dla sprawdzenia zaś przysłowia francuskiego i dopełnienia obrotu kołowego brak mu tylko, ażeby został dyrektorem Towarzystwa muzycznego, gdzie odbył debiut krasomówczy i — jeśli mnie pamięć nie myli — śpiewacki. Czy p. Piltz tyle już zebrał sobie z *Kraju*, że mógł nabyć akcye kolei w poważnej liczbie, czy też wypożyczył się komuś jako „mąż słomiany“ — to jest co najwyżej ciekawem z tej strony, jak jego pismo, które już tyle sprzeczności pogodzić umiało, wykonywać będzie tę ostatnią sztukę swych akrobatycznych przedstawień. Dotąd bowiem *Kraj* miękką gąbką, ale jednak pocierał p. Halperta po oszczędnościach; cóż teraz pocznie, gdy jego redaktor zbliżył się do trapiciela kolei Nadwiślańskiej na odległość nogi od głowy jednego organizmu?

Bądź co bądź nie wiedzie nam się fatalnie z drogami żelaznemi: Nadwiślańska stała się pompą wyzysku, Warszawsko-Wiedeńska utonęła w kieszeniach akcyonaryuszów zagranicznych. Pozorne zwycięstwo „żywiołu miejscowego“ w sprawie dywidendy może łudzić tylko naiwnych. Bo pozostaje faktem, że kapitały krajowe instytucyi tej opanować nie chcą. Do jakiego zaś stopnia nie budzą one zaufania, świadczy swem zdaniem *Ateneum*, pismo podtrzymywane przez plutokracyę tutejszą, a przytem maszerujące zawsze drogą złotego środka. Według niego atak na cudzoziemców w sprawie kolei Warszawsko-Wiedeńskiej przypomina powiastkę Szczedryna, opisującą denuncyacye, jakie się sypały na pewnego spokojnego obywatela za to, że z sąsiadami wódki nie pił, w karty nie grał, towarzystwa hałaśliwego nie lubił i o niektórych kwestyach pozwolił sobie być innego zdania, niż otoczenie. Na mocy tych poszlak sąsiedzi przyszli do wniosku, że jest to człowiek szkodliwy dla społeczeństwa i zadenuncyowali go przed władzą, która im odpowiedziała: „zaczekać na postępki.“ Otóż *Ateneum* mniema, że i tym razem trzeba „zaczekać na postępki,“ zwłaszcza że „kraj nasz nieraz na udziale kapitałów zagranicznych i na osobistych usługach cudzoziemców nieźle wychodził.“ I my występowaliśmy przeciwko szowinizmowi, nadewszystko zaś przeciwko nadziewaniu serc belgów i holendrów uczuciami naszemi; ale rozumowanie powyższe przypowina nam historyę o gruszce i pietruszce. Bo naprzód co innego jest przemysłowiec, osiadający w kraju i zakładający w nim jakiś warsztat pracy, a co innego spekulant giełdowy, który pożycza krajowi pieniądze na wysoki procent, nic nowego nie stwarza i tylko wysysa z cudzej pracy swe zyski. Porównanie pp. Lysena, Delamare'a itd. z Girardem, Evansem i Fidlerem jest co najmniej sztucznie sklejone. My nie potrzebujemy "czekać na postępki" zagranicznych akcyonaryuszów kolei Warszawsko-Wiedeńsk., bo oni sami na zebraniu w Brukselli i w *Cote libre* wyraźnie powiedzieli, czego od nich spodziewać się można. Tam nad Wisłą — mówili — dojrzały dla nas złote jabłka, spieszmy je zerwać — to znaczy wyśrubować dywidendę do najwyższej miary, a co się zrobi przytem z instytucyą i zależnymi od niej interesami kraju — żaden z owych przyszłych Girardów i Fidlerów nie pytał i nie dbał.

Zresztą nie obawiajmy się. W krainie Merkurego niema uczuć, zasad, sympatyj, nienawiści i upartych dąsów, są tylko rachunki. Jestem pewien, że gdy kapitaliści zagraniczni obliczą z naszymi wzajemne zyski ze zgody i straty z walki — pójdą do ślubu i p. Hanseman pobłogosławi ich na dalsze wspólne pożycie. Zobaczycie, że niedługo będziemy na tem weselu — zdaleka, może tylko p. Piltz zblizka.

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. W Petersburgu przy szkołach profesyonalnych żeńskich w następnym roku będą otwarte kursy gospodarstwa domowego i kucharstwa.

— Minister oświaty wyjaśnia, iż uczniowie szkół realnych oprócz innych egzaminów, powinni przy przejściu z pierwszej do drugiej klasy zdawać egzamin piśmienny z języka niemieckiego, przy przejściu zaś z drugiej do trzeciej — z francuskiego.

Sądy. Istniejące w Finlandyi parafialne sądy kolegialne, złożone z wybranego przez szlachtę preze-

sa i dwóch członków włościan, zostaną wkrótce zniesione, natomiast czynności sędziów parafialnych pełnić będą osoby, zatwierdzone przez ministra sprawiedliwości, po poprzedniem porozumieniu się z właściwym gubernatorem.

Apteki. Ministeryum spraw wewnętrznych otrzymało w ostatnich czasach kilkanaście podań od ziemstw wielu gubernij, w których domagają się one przyznania sobie prawa otwierania aptek dla ubogich mieszkańców, celem sprzedawania lekarstw po cenie kosztu.

Podatek. Radzie państwa w Petersburgu przedstawiono projekt nałożenia na maklerów giełdowych podatku w stosunku do osiąganych przez nich dochodów. Pochodzące stąd wpływy obracane byłyby na zasilenie funduszów instytucyj filantropijnych miejskich, oraz na cele dobroczynne.

Sprawy kolejowe. Dzienniki petersburskie donoszą, że ministeryum komunikacyi rozpoczęło już porozumiewanie się z ministeryami skarbu i wojny w przedmiocie dokonania wykupu kolei Terespolskiej i przyłączenia jej do państwowego zarządu dróg Poleskich. W tymże zarządzie skupić się ma także administracya linij: Siedlecko - Małkińskiej i Brzesko-Chełmskiej.

Rada państwa ustanowiła census naukowy dla przewodniczących w ziemstwach, którzy dla zajęcia urzędu muszą mieć 25 lat skończonych i posiadać świadectwo z ukończenia średniego zakładu naukowego. Projekt wprowadzenia instytucyi sędziów pokoju z nominacyi tam, gdzie będą przewodniczący w ziemstwach, został zatwierdzony, jak również projekt ograniczenia jurysdykcyi sędziów przysięgłych. Najważniejsze sprawy będą sądzone przez izby sądowe ze współudziałem przedstawicieli stanów. Personel izb sądowych będzie powiększony o dwudziestu członków i ośmiu towarzyszów prokuratora.

Dla włościan. Obywatel ziemski z Łukowskiego, p. Z. — jak donosi *Kur. warsz.* — krząta się około urządzenia w jesieni wystawy drobnego przemysłu włościańskiego. Projektodawca udaje się o protekcyę do Towarzystwa popierania przemysłu i handlu.

Wybuch. W nocy z 27 na 28 z. m. na kolei Nadwiślańskiej między Mławą a Konopkami nastąpił wybuch pary w lokomotywie pociągu towarowego. Maszynista i pomocnik jego zostali wyrzuceni z parowozu o kilka sążni od plantu. Obaj są silnie pokaleczeni.

Wynalazek. Pismo naukowe angielskie *Iron* podaje wiadomość, iż Edison pracuje nad przyrządem, zapomocą którego można będzie oglądać rzeczy o setki mil odległe. Wynalazca oblicza, iż przyrząd swój ukończy w r. 1892.

Stypendya. Minister oświaty zwrócił uwagę, iż wypłata stypendyów studentom uniwersytetu ustaje z d. 1 lipca, to jest w chwili, kiedy nieraz wielu z nich ma jeszcze kończyć zdawanie egzaminów przed komisyą egzaminacyjną i w tym czasie właśnie znajdują się oni w najtrudniejszem położeniu. Mając to na względzie, p. minister uznał za właściwe studentom tej kategoryi przyznawać i udzielać wsparcia z funduszów stypendyalnych w wysokości od 60 do 100 rs., od 1 lipca do ukończenia egzaminów przed pierwszą po wyjściu z uniwersytetu komisyą.

Przemysł. Komitet petersburskiego Towarzystwa przemysłu i handlu nadesłał oddziałowi warszawskiemu odezwę, w której donosi, iż przemysłowcy ruscy założyli w Atenach bazar wyrobów rzemieślniczych i przemysłowych i uprasza, aby tutejsi udziałem swoim poparli usiłowania założycieli bazaru, który w przyszłości ma zamiar otworzyć filie swoje we wszystkich większych miastach Grecyi i Turcyi.

Nowe pismo. W Krakowie zaczął wychydzić „Kwartalnik stowarzyszenia kandydatów notaryalnych.“ Jest to pierwsze pismo polskie w tym zakresie.

W Instytucie Pasteura w ciągu roku obiegłego przebywało na kuracyi 1,673 osoby, pokąsane przez psy wściekłe (francuzów 1,487, obcokrajowców 168). Pokąsanych w głowę lub twarz było 118 osób, z tych 10 dostało wścieklizny w czasie leczenia, trzy zmarły po odbyciu całkowitej kuracyi.

Fabryka prochu. Pułkownik artyleryi, Olchin, otrzymał pozwolenie od ministeryum skarbu i spraw wewnętrznych na otwarcie w Królestwie Polskiem fabryki prochu.

Reforma sądowa. Wobec zatwierdzenia przez Radę państwa projektu reformy sądowej w guberniach nadbałtyckich, w ministeryum sprawiedliwości rozpoczną się wkrótce zajęcia, zmierzające do skompletowania składu osobistego nowych instytucyj. *Rižsk. Wiest.* donosi, iż urzędnicy sądowi prowincyj wewnętrznych mają być zapytani przez ministeryum, czyby nie zechcieli przenieść się do kraju Nadbałtyckiego, a w razie życzenia złożyć mają odpowiednie deklaracye. Reforma wprowadzona będzie 20 listopada r. b.

Deputacye szlacheckie. Ministeryum spraw wewnętrznych opracowywa projekt reformy dzisiejszych zgromadzeń deputacyj szlacheckich w kraju Zachodnim. W ciągu długiego szeregu lat zgromadzenia te uznawały za należące do stanu szlacheckiego wiele osób i rodzin, których szlachectwa następnie departament heroldyi nie zatwierdzał. Bywały takie wypadki, że zatwierdzone następnie w godności szlacheckiej przez heroldyę rodziny korzystały z fałszywych dokumentów. Zdarzało się także przechodzenie spadków na linie boczne, na zasadzie uchwały zgromadzeń deputackich, które następnie nie uzyskały zatwierdzenia departamentu heroldyi. (*Now. Wrem.*).

Zabezpieczenie pól i lasów. Ministeryum spraw wewnętrznych zwróciło uwagę na konieczność szybkiego zrewidowania przepisów o zabezpieczeniu pól i lasów od wypasania. Istniejące przepisy mają być uzupełnione następującymi: Starosta (sołtys) wsi, z której pochodzi inwentarz, w razie gdy ten ostatni wyrządzi szkodę, jest obowiązany odszukać właściciela; poszkodowany ma prawo dochodzenia strat na całej gromadzie. Każda wieś powinna utrzymywać pastucha, który ma pilnować lasów, ogrodów, pastwisk itp. W razie zabicia nierogacizny lub gęsi, puszczonych bez dozoru i znalezionych w szkodzie, nie będzie stosowany art. 153 ustawy o karach nakładanych przez sędziów pokoju.

Zmarli. Maurycy Fierich, profesor wydziału prawnego na uniwersytecie krakowskim. Oprócz kilku większych prac w zakresie prawoznawstwa i literatury prawnej, zamieścił sporo pomniejszych prac w czasopismach specyalnych.

Sprostowanie. Na str. 305 w odcinku szp. 1 w. 9 od dołu zamiast „smutną pieśń swą,“ czytać należy „smutnej pieśni swej“; szp. 3 w. 6 zam. „pochyliła się“ — „i pochyliła się“; w. 10 zam. „i powtarzając“ — „powtarzając.“

Ogłoszenia.

Wydawnictwa „Prawdy.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tłom. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.** Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

E. Taylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1 k. 50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3 (z przesyłką rs. 3 k. 50).

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

A. Świętochowski. **O powstawaniu praw moralnych** rs. 1 k. 50.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Podpanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie**, powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — k. 50.

— **Klemens Boruta**, powieść — k. 40.

— **Niewinni**, dramat w 3 aktach — k. 80, z przesyłką rs. 1.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — rs. 1.

N. Hirszband. **Byron** w urywkach — rs. 1 kop. 20, z przesyłką rs. 1 k. 25.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie), rs. 1, z przes. rs. 1 k. 20.

K. Lewald. **Historya XIX w.** od r. 1800—1888 — rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Spółka Nakładowa

poleca następujące wydawnictwa swoje:

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 2.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie wieku XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześcioma portretami, str. 541 — rs. 2 k. 50.

Gumplowicz S. System socyologii—rs. 3 k. 30, z przesyłką rs. 3 k. 60.

Kramsztyk Stanisław. O postaci i ciężarze ziemi, str. 93 — k. 60.

Okolski A. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych A. P. — rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 30.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 k. 20.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polskiem, studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — k. 60.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przełożył Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. Najlepsza w tym rodzaju w literaturze polskiej. W ozdobnej oprawie z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1 kop. 80.

Biuro i ekspedycya **Spółki Nakładowej**: Warszawa, Złota 23.

Prenumeratorzy PRAWDY otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Іюня 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.